№ 42. Warszawa, dnia 17 (5) Października 1885 r. Rok V.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Zielna Nr. 7-a.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

ZAWIERUCHA POZNAŃSKA.

Od lat kilku Poznańskie nie jest już owczarnią, słuchającą dawnych pasterzy, lecz posiada w swej gromadzie kilku wilczków. Wilczki te obrały sobie za legowisko *Goniec Wielkopolski* a usiłują wydusić... pasterzów i przewodniczyć... owcom. Ich napaści powtarzają się stale przy każdych wyborach w sposób jednaki — zapomocą burd i awantur na sejmikach. Obecne wybory dostarczyły znowu przeciwnikom sposobności (23 września) do krzykliwego i gorszącego starcia. Tym razem na czele konfederacyi stanął lichy gramatyk, a jeszcze lichszy polityk dr. Rzepecki, który ze swymi poplecznikami zawichrzył pierwsze zebranie. Skutkiem tego 800 obywateli polskich w Poznaniu na zgromadzeniu 30 września uchwaliło, że „na przypadek, gdyby i drugie walne zebranie przedwyborcze, zwołane legalnie na 1 października do sali Lamberta, przez burdy i wrzaski lub z jakiejkolwiek innej przyczyny rozbite zostało, obecny komitet miasta Poznania do spraw politycznych uważać będziemy za naszą władzę wyborczą, uprawniony do dalszego urzędowania." Następnie p. Skoraczewski odczytał następującą klątwę, rzuconą na rzeszę *Gońca*: „My obywatele miasta Poznania, zebrani na wiecu stronnictwa obywatelskiego w hotelu Saskim dnia 30-go września, zakładamy protest przeciwko ludziom buntu i bezprawia z partyi *Gońca*, którzy przez krzyki i wrzaski, spowodowawszy w dniu 23 września rozwiązanie zebrania przez policyę, zburzyli legalnie zwołane zebranie przedwyborcze, a tem samem przeszkodzili wyborcom m. Poznania w wykonywaniu ich praw obywatelskich. Postępowanie takie piętnujemy jako gorszące i zgubne dla naszej sprawy narodowej. Zakładając protest przeciw tym burzycielom porządku i spokoju na naszych zebraniach wyborczych, prosimy i błagamy wszystkich obywateli zaliczających się jeszcze do partyi *Gońca*, a którym dobro publiczne i godność obywatelska na sercu leżą, aby się upamiętali i razem z nami zgodnie pracowali ku pożytkowi sprawy kościoła i narodu polskiego."

Zbierzmy z tego wrzątku szumowiny — napaści, kłótnie, obelgi, protesty — i zobaczmy, co poważnego pod niemi się gotuje. Niedawno *Vossische Zeitung* zamieściła korespondencyę z Poznania, w której czytaliśmy: „Wrzenie śród chłopów i mieszczan przeciwko pysze i roszczeniom szlachty polskiej, pomimo zaprzeczeń i tuszowań *Dziennika*, nie jest żadną tajemnicą dla tych, którzy dokładniej obserwują tutejsze stosunki. Niezadowolenie to w ostatnich czasach znacznie wzrosło i ujawniło się przy rozmaitych sposobnościach a zwłaszcza przy wyborach, na co chcemy tu zwrócić uwagę. Już podczas poprzednich— np. podczas ostatnich do sejmu niemieckiego — toczyła się ta walka przeciwko kurateli nad mieszczanami i chłopami, ale szlachta umie tak manewrować, że zewnątrz nikt nie dostrzega jej usiłowań i dążeń do zapewnienia sobie władzy (*Regiment*). Wiadomo, jak ona dotąd traktowała chłopów i mieszczan; i nadal chce w zwykły swój sposób postępować dla utrzymania władzy. Nic też dziwnego, że śród tych żywiołów budzi się świadomość, godność i siła."

Goniec Wielkopolski na sztandarze swym również wypisał prawa ludu, a jego zastępcy rekrutują się wyłącznie z mieszczan i chłopów. Nawet tedy po odtrąceniu przesady w głosach obcych i swoich, mamy niewątpliwie przed sobą walkę dwu stronnictw: szlacheckiego i demokratycznego. Gdyby nam przedstawiono tylko te dwie gołe nazwy, gdybyśmy po za niemi nie widzieli ani ludzi, ani ich zasad i czynów, naturalnie sympatya nasza zwróciłaby się ku obozowi *Gońca*. Ale, niestety, sympatyzować z nim trudno. Jego sztab główny — to już nie katolicy, ale furyaci ultramontanizmu, nie marzyciele polityczni, ale maniacy, którzy wbiwszy sobie w mózg kilka gwoździów, wyjąć ich nie chcą. Demokratyzm jest tu grą niskich instynktów tłumu, roznamiętnionych religią, a raczej służalstwem religijnem i brawurą. Nie posądzamy d-ra Rzepeckiego o złą wolę, ale posiada on jedną z najmętniejszych głów, jakie nam się widzieć zdarzyło. Bez zmysłu praktycznego, bez szerokiego poglądu, bez zdolności pojmowania życia, sekciarz i fanatyk, szczepi swoją propagandę na żywiołach niższych, nie dlatego, ażeby ich upośledzenie odczuwał i rozwój ich przyspieszyć pragnął, ale dlatego, że stanowią one grunt najpodatniejszy do wichrzenia. Są ludzie miary wielkiej, ktorzy ześrodkowywają w swej piersi uczucia, dążenia, interesy kół społecznych i walczą za nie z korzyścią lub szkodą ogółu; są przywódcy partyj, którzy wystawiają rozległe programy, lepsze lub gorsze, ale wydobyte z rzeczywistych stosunków i dążące do jasnych celów. Tacy nadają życiu ruch, pośrednio lub bezpośrednio przyczyniają się do postępu. Ale bywają ludzie miary małej, którzy z dziwactw, przywidzeń, maligny, snują jakąś chimerę polityczno-społeczną, a zjednawszy dla niej gromadkę zwolenników, chcą z nimi świat przetworzyć. Nie są to reformatorzy, ale wioskowi prorocy, guślarze lub pokątni doradcy.

Do tej kategoryi należy dr. Rzepecki wraz z całą załogą *Gońca*.

Od takich wodzów demokracya poznańska niczego więcej spodziewać się nie może, prócz niezaszczytnych tryumfów w awanturach. A jednakże żywioł ten przy

innem kierownictwie rozwinąłby się z pożytkiem kraju. W doniesieniach gazet niemieckich, w pokrzykach samego *Gońca* tyle jest prawdy, że lud i mieszczanie poznańscy uprzykrzyli sobie pasek szlachecki i czują dojrzałość polityczną. Bo pamiętać trzeba, że nie jest to ciemny tłum, ale świadomi swych praw i dążeń obywatele, którzy pragną być samodzielni zwłaszcza tam, gdzie interesy ich krzyżują się z interesami bądź wielkiego kapitału, bądź wielkiej własności ziemskiej.

Ponieważ wszakże te warstwy nie mają dotąd rozumnych i zdolnych przewodników, ponieważ prześladowania narodowości polskiej, podniesione ostatnim edyktem rządu pruskiego do jawnego gwałtu, wymagają jednoczenia sił, ponieważ dotychczasowi sternicy Poznańskiego pomimo częściowych błędów i krótkowidztwa, są ludźmi mocnego charakteru i uczciwych zasad — bezpłodne zatem wichrzenie społeczeństwa przez politycznych maniaków naraża je tylko na straty. Dr. Rzepecki z awantur, które wywołuje, może wynieść sławę zaciętego boksera, ale nic więcej. Żadnego odżywczego prądu, żadnego zdrowego żywiołu nie wytworzy, bo buntowaną gromadę karmi tylko hultajskim bigosem spleśniałych haseł, cudaczną mieszaniną nadpsutych pojęć. Nie jest on trybunem ludu, ale jego podżegaczem.

WIDMO REAKCYI.

Niespodziewany wynik wyborów 4-go października spadł jak bomba w zaniepokojone szeregi Francyi republikańskiej.

W Izbie, która świeżo ukończyła swą kadencyę, było, na 580 posłów, zaledwie 87 monarchistów; obecnie zaś, po pierwszych zaraz wyborach, wyszło z urn 177 reakcyonistów! Republikanów wybrano na razie tylko 127. O 270 miejsc mają oni w dniu 18 b. m. stoczyć walkę z koalicyą monarchiczną. W powtórnem tem głosowaniu reakcya zdobędzie jeszcze, jak przypuszczają, miejsc kilkanaście i wejdzie do przyszłej Izby falangą, liczącą 200 do 230 głosów! Republikanie mieli istotnie powód do zaniepokojenia. Klęska była nieprzewidzianą a rozmiary jej znaczne. 20 (na 86) departamentów wybrało reprezentacyę wyłącznie monarchiczną; tylko 16 wysłało samych republikanów—w pozostałych toczy się jeszcze walka między rzeczpospolitą a monarchią. Cała prawie Francya północna i część południowej zdradziła tendencye wsteczne. Położenie parlamentarne uległo zmianie.

Mniejszość monarchiczna w Izbie poprzedniej nie wchodziła w rachubę. Zdawało się, że to szczątkowa pozostałość dawnego ustroju, przeznaczona na zanik nieuchronny. Była ona nietylko słabą liczebnie, lecz nadto podzieloną na rywalizujące z sobą odłamy: legitymistów, orleanistów, bonapartystów. W łonie tych grup istniały również rozdwojenia—tak np. bonapartyści dzielą się na „żeromistów“ i „wiktorystów,“ monarchiści na „białych z Eu“ i „białych hiszpańskich“ (*blancs d'Eu*, orleaniści i *blancs d'Espagne*, legitymiści zwolennicy Don Carlosa). Takiej opozycyi można się było nie obawiać. Brakło jej wspólnego gruntu...

Losy Francyi spoczywały całkowicie w rękach ogromnej większości republikańskiej, podzielonej na liczne odcienia: lewy środek, unia demokratyczna, unia republikańska, lewica radykalna i skrajna lewa. Kluby te z kolei dzierżyły władzę, która ostatecznie znajdowała się w rękach „radykalnej lewicy,“ gdy nagle stanęło przed Respubliką widmo reakcyi.

Ażeby objaw ten wytłomaczyć sobie, musimy się cofnąć nieco wstecz. Po 4-ym września 1870 r., po haniebnej porażce, zapisanej całkowicie na odpowiedzialność obalonego Cesarstwa, po utopieniu Komuny w okropnościach „krwawego tygodnia“ zapanowała we Francyi reakcya z pozoru tylko republikańska, czekająca jednak tylko chwili stosownej, ażeby wskrzesić monarchię. Była to respublika bez republikanów, która, jak się Thiers, jej fundator, wyrażał, miała być „konserwatywną lub nie istnieć wcale.“ Dwulicowa ta postać trzymała się jako porządek przejściowy, tymczasowy, i miała ustąpić bezzwłocznie miejsca monarchii, skoro tylko ta ostatnia pod jej osłoną dojrzeje. Bonapartyzm po Sedanie zbankrutował, na jego gruzach jednak można było wyhodować spadkobierców mieszczańskiej monarchii lipcowej. Nie szczędzono też niczego, ażeby orleanizm dojrzał i rozwinął się pod kloszem Respubliki. Ta ostatnia, mimo przeciążenia kraju podatkami dla wypłaty wielomiliardowej kontrybucyi i naprawienia szczerb przez wojnę wyrządzonych, nie miała nic pilniejszego, jak zwrócić książętom orleańskim skonfiskowane im za Napoleona dobra i 11 milionów. Nie szczędzono też niczego, żeby podnieść w kraju rozgłos i powagę „domu francuskiego;“ książęta wstąpili do armii, gdzie wysokie zajęli stanowiska... Spieszono się bardzo z tą restauracyą monarchiczną. 16 maja 1877 marszałek Mac-Mahon przygotował zamach stanu. Rzecz jednak wydała się przed czasem. Republikanie umieli ją udaremnić. Prezydent, działając zgodnie z monarchicznie nastrojonym senatem, rozwiązał Izbę, w której republikanie mieli 363 posłów liczącą większość. Kraj jednak nie poszedł za temi intencyami i wybrał na nowo owych 363.

Prezydent zmuszony był podać się do dymisyi i wtedy dopiero zaczęła się we Francyi respublika republikańska... Jest to w gruncie fałszywe mniemanie, że trzecia francuska Respublika ma już lat 15. Bynajmniej, istnieje ona dopiero od prezydentury Grevego. Dopiero wybory 1881 dokonane pod wpływem Gambetty dały Francyi większość szczerze republikańską. Zaledwie w tej ostatniej kadencyi zapadły w Izbie francuskiej uchwały republikańskie. Dość przypomnieć zaprowadzenie bezpłatnego nauczania początkowego, ustawę o wolności zebrań i prasy, reformę szkół średnich, ustawę o syndykatach zawodowych, kładącą prawne podstawy organizacyi klasy robotniczej. Rzeczpospolita dziesięćkroć powiększyła budżet ministerstwa oświaty, zrobiła wiele dla podniesienia rolnictwa i przemysłu. Podatki są jeszcze wciąż dość wysokie, zmniejszono już jednak o połowę ich nadwyżkę, zaprowadzoną po wojnie 1870—71 r. Najmniej powodzenia miały usiłowania w kierunku polityki kolonialnej. Mało jest bezwzględnych przeciwników tej polityki. Przy kapitalistycznej organizacyi ekonomicznej kolonie są złem koniecznem prawie; zdobyczy kolonialnych wymaga nietylko przemysł potrzebujący targowisk dla zbytu i materyałów surowych — wymaga tego także przemysłowe i polityczne współzawodnictwo różnych państw i narodów. Oportuniści mieli tedy argumenty na obronę podjętej przez nich polityki kolonialnej, zgrzeszyli jednak tem, że wplątali się w kosztowną i mało przedstawiającą widoków wyprawę

---

2)

BITWA POD ŁOWCZĄ

przez

A. Wereszczagina.

Skobelew dosiada konia i tą samą drogą jedzie ku szosie. Zbliża się do przodnich pozycyj. Imeretiński pozostaje jeszcze przez chwilę. Coraz częściej spotykamy rannych. Tam, na stronie, stoi żołnierz, dwa karabiny ma na plecach, pod ręką— towarzysza. Ten, szlochając, jak dziecię, zaledwie się porusza. Oh, o-o-oi-oi—jęczy, zdrową ręką przytrzymuje zranioną. Chorą osłaniają szmaty najrozmaitsze; kołysze ją, niby matka swe dziecko maleńkie.

— Zdrowi, wiara! — wita ich generał przystając nieco. Zranioną masz rękę?

— Tak jest—drżącym głosem brzmi odpowiedź rannego. Sucho ma usta, a zwilża je językiem.

— Tu, w tem miejscu zgruchotana—dodaje przewodnik prędko, wskazując na ramię swoje powyżej stawu ręcznego. Ale generał już nie słucha. Zdaleka widać batalion, z którym się jeszcze nie przywitał. Przechodząc przez drogę, szeregi się rozluźniają, kroczą zwolna i nierównomiernie.

— Zdrowi, dzieci! Dzięki za wasze usługi! — woła generał, dopadając do nich galopem.

Spostrzegłszy naczelnego wodza, żołnierze spieszą co tchu, cisną się i szybko usiłują stanąć w porządku.

— Staramy się, ekscelencyo! zabrzmiało z pośród szeregów.

Skobelew zwraca się do Kuropatkina ze słowami:

— Co za motłoch! Jak się to rozbiegali, wcale nie jak turkestańcy.

Skręcamy na lewo i jedziemy wzdłuż bateryi. Ogień skierowano ku widzialnej z odległości dwu wiorst może „Czerwonej górze,“ która od pokrywającego ją czerwonego piasku otrzymała te nazwę, Poza bateryami, w winnicach, panuje cisza. Wśród piechoty nie słychać rozmowy żadnej; tu jakby się obawiali, że każdy wyraz, niepotrzebnie wymówiony, ściągnie na nich ogień nieprzyjacielski. Co chwila spadają bomby z hukiem, a jeszcze z głośniejszym pękają i tulących się do siebie żołnierzy obrzucają ziemią i odłamkami. Stajemy na wzgórzu, za którem w odległości pół wiorsty widać ostatnią półbateryę naszą. Na nią, jako najbliższą nieprzyjacielowi, więcej niż na inne sypie się kul, chociaż i ona nie drzemie.

— Wereszczagin! — zwraca się generał do mnie, zsiadając z konia i przybliżając do oka binokle; czy widzisz pan tam ten biały domek w pobliżu dział? Daj rozkaz, aby go zburzono.

Prędko zeskakuję z konia i udaję się na miejsce wskazane. Im bliżej dział, tem liczniejsze padają granaty. Tam nadciąga jeden, bliżej, szybciej sycząc, szu-szy-szy-szy... Serce mi mdleje. Pcha coś do nachylenia się, do ucieczki, żeby nie być zabitym. W tej chwili świta we mnie myśl: A jeśli, generał zobaczy, co powie? Boi się, tchórz.

I towarzysze pewnie patrzą w tę stronę, uważają, jak chodzę, czy się nie słaniam. Kilka kroków przedemną inna pęka bomba. Zatrzymuję się pomimo woli, mocno przymykam oczy i czekam śmierci. Fr-fr-fr-r-r—huczy mi coś nad uchem, niby bekas młody z ciepłego gniazda wypłoszony. Uciekaj! uciekaj!—szepcze mi coś tajemniczo z jednej strony. Nie uciekaj, bo widzą! słyszę jednocześnie z drugiej. W nogach czuję osłabienie, zaczynam potykać się co krok. Usiłuję iść prosto i dosięgam pie-

tonkińską, że dla niej zaniedbali ważniejszą sprawę reform wewnętrznych.

Wogóle wynaleziony przez Gambettę oportunizm nie zadowolnił kraju. Mówiono o potrzebie reform, brano się jednak do nich połowicznie, nie szczerze, gubiono się w bezprogramowości, pogrążano w wygodzie zdobytych pozycyj. Rzeczpospolita znalazła w nim swoją Kapuę, nim jeszcze dokonała zwycięstw poważniejszych. Wyprawa tonkińska, wraz z panującem obecnie przesileniem ekonomicznem, przepełniła miarę oportunistycznych błędów. Gabinet Ferrego na krótko przed upływem mandatu Izby obecnej został obalony przez opozycyą radykalną. Prawy odcień skrajnej lewicy, *gauche radicale*, przyszedł do władzy. Przyrzeczono sobie pójść śmiało w kierunku reform wewnętrznych, zwrócono się do tradycyi pierwszej Rewolucyi, przechylono się ku socyalistycznemu radykalizmowi.

Zdawało się, że Francya republikańska staczać się będzie coraz bardziej po drodze legalnej ku rozwiązaniu najzawilszych społecznych i politycznych zagadnień. Staczanie to ostatnimi czasy było tak szybkie, że wydawało się prawie nieprawdopodobnem. Wychodziły jednak na jaw i ujemne strony tego ruchu. Brak żywszego umysłowego prądu, któryby nad nim górował i wskazywał mu cele ściśle określone, bliższe lub dalsze; brak silniejszego porywu i zapału, który jest potężną dźwignią wielkich przeobrażeń. Wskutek tego lewica oportunistyczno-radykalna i radykalno-socyalna podzieliła się na mnóstwo drobnych odcieni, na wiele kół i koteryj, które wyraźnie wystąpiły na jaw przy obecnych wyborach. W Paryżu naprzykład współzawodniczyło z sobą tuzin przeszło list mniej lub więcej radykalnych i w rezultacie na 38 posłów wybrano tylko 4, w liście przytem, która utrzyma się prawdopodobnie przy powtórnych wyborach, chaotycznie reprezentowane są najrozmaitsze radykalne gatunki.

Gdy tak spierano się o drobne, często drobnostkowe szczegóły, zapomniano zupełnie o nieprzyjacielu, który w skrytości organizował się i przygotowywał do zadania dotkliwej klęski. Różnoimienna monarchiczna opozycya sprzymierzyła się wobec wyborów w jednolitą „opozycyę konserwatywną“ i w tem połączeniu znalazła siłę i grunt pod nogami. Opozycya jałowa i niezgodna, gdy szło o restauracyę monarchiczną, znalazła się w daleko korzystniejszem stanowisku jako opozycya konserwatywna. Wiadomo, że konserwatyzm dzisiejszy przestał być ślepem trzymaniem się płota, czczem wzdychaniem do starego porządku. Zasilony krytyką radykalnych kierunków wystąpił on obecnie w całej Europie z dość skuteczną walką przeciwko liberalizmowi. Zmiana ta zaszła i we Francyi, lubo mało wiedziano o niej w obozie republikańskim, zajętym własnemi sprawami. Uwidoczniła się ona dopiero w dniu 4 października.

Ukazanie się jednak widma konserwatywnej reakcyi nie pozostało bez wpływu na obóz republikański. Groźba wstecznego powrotu zbudziła republikanów z wygodnej drzemki na zdobytych dotąd a mało jeszcze zasłużonych laurach i przechyliła ich ku skrajnej radykalnej lewicy. Oportunizm okazał się słabym dla przeprowadzenia reform wewnętrznych, nie byłby też skuteczną tamą dla powstrzymania reakcyjnej fali, która grozi Respublice zalewem.

Według prawdopodobnych obliczeń, po powtórnem głosowaniu w dniu 18 października Izba francuska liczyć będzie 376 republikanów i 208 monarchistów. Przewaga 168 głosów jest dostateczną siłą do obrony osiągniętych zdobyczy politycznych.

Gdyby wszakże monarchiczna opozycya wzrosła w siłę o tyle, żeby mogła ruch republikański powstrzymać i dokonać zamachu stanu — Francyi groziłaby wówczas rewolucya, co by zaś po niej nastąpiło, tego przewidzieć w chwili obecnej niepodobna.

Gra w każdym razie rozpoczęta. Karty na stole.

P.

Z NIEMIEC.

Obojętność względem wypadków bułgarskich. — Proces Graefa i jawność postępowania sądowego. — Proces socyalistyczny i chybiony zamach. — Uchwała Rady królewieckiej i Związku demokratycznego w sprawie wydaleń. — Interes. — Wrażenie wyborów francuskich. — Współczucie dla Rzeczypospolitej i obawa monarchii.

Wrzenie półwyspu Bałkańskiego od początku aż dotąd nie zdołało rozgrzać ani narodu, ani rządu niemieckiego. Pierwszy zachowuje się obojętnie zawsze, ile razy gdzieś — „ist nichts zu gewinnen,“ drugi, również przejęty tą zasadą, zachowuje olimpijski spokój w przekonaniu, że bez jego woli nawet wróbel z dachu nie spadnie. Jeżeli więc prasa zajmuje się wypadkami bułgarskimi, to dlatego jedynie, że ich pomijać nie może i ważniejszych pod ręką niema. Bo nawet nadchodzące wybory do sejmu pruskiego nie roznamiętniają ogółu. Ks. Bismark nie ubezwładnił, jak chciał, parlamentu, ale że go ludziom dražliwym zbrzydził — to pewna. W gazetach długim szeregiem ciągną się oświadczenia posłów, którzy zrzekają się dalszych mandatów. Pobudką tej rejterady jest niemożność utrzymania godności poselskiej wobec samowoli wszechwładnego kanclerza i uległej służby jego bałwochwalców, mających w parlamencie przewagę.

Daleko bardziej, niż wybory, pochłonęły uwagę publiczną dwa procesy, które przed kilku dniami ukończono. Pierwszy otworzył brudne tajemnice życia berlińskiego. Znakomity malarz, profesor Akademii sztuk pięknych, starzec, Graef, oskarżony został o karygodne stosunki z młodą dziewczyną — modelem. Chociaż sąd go uniewinnił, wypuścił wszakże tak ununrzanego zeznaniami świadków, odsłonił tak szeroką i wstrętną kałużę błota, że pisma zrobiły mu słuszną za to wymówkę, narzekając na gorszącą jawność procesu. Jesteśmy zwolennikami jawności procesów sądowych, ale w pewnych wypadkach działa ona zabójczo — i na obwinionych i na chciwie czytający skandaliczne sprawozdania ogół. Żaden morał nie pomoże, zwykły śmiertelnik będzie zawsze smakował w takiej lekturze, która go bynajmniej nie umoralnia. A co rzec o niewinnie skarżonych? Najprzychylniejszy wyrok nie zetrze z nich tego błota, którem ich badanie sądowe umazało.

Inne znaczenie miał drugi proces grona socyalistów, pociągniętych do odpowiedzialności (w Chemnitz) za udział w tajemnej organizacyi, szerzenie występnych teoryj itd. I tu zapadł wyrok uniewinniający — oskarżonych, ale nie prokuratora, którego zbytnia gorliwość ośmieszyła się. Śledztwo bowiem wykazało, że mniemani zbrodniarze nie robili niczego więcej, nad to, o czem wszyscy wiedzą, nie wyłączając... prokuratorów. Punkt ciężkości padał na tajemną organizacyę. Ale w parlamencie istnieje osobna, ubezpieczona przez prawo partya socyalno-demokratów, która, jak każda inna, ma swoją organizacyę,

---

choty. Poza nią, po przez dym widać okopcone twarze artylerzystów. Słychać ich wołanie: nabijać!—ognia!—do dział! itd. Kroczę wśród piechoty. Przyciśnięci jeden do drugiego, z karabinami w ręku, siedzą żołnierze, wzruszeni, jakby myśleli: Jeśli kula spadnie na nasz oddział, w kogoż ugodzi? Żeby nie przerwać ciszy ogólnej, półgłosem pytam o naczelnika oddziału. Tu! I naczelnik ten, rudy, wysoki, ogorzały, wąsaty sztabskapitan podnosi się z niechęcią i postępuje kilka kroków naprzód ku mnie. Wysłuchawszy, woła również półgłosem: Feldwebel! feldwebel, feldwebel! Ostrożnie—mówi jeden żołnierz do drugiego. Zwinny feldwebel śmiało wyskakuje i, przyciskając szablę do boku i lekko się nachylając, jakby w obawie, że głową o coś uderzy, spieszy do dowódcy.

— Każ iść dziesięciu ludziom z toporami i zburzyć tę chatkę — tam!—mówi sztabskapitan ponuro, salutuje po wojskowemu i niepostrzeżenie wraca na poprzednie swoje miejsce, gdzie bez szwanku przesiedział od rana i dla tego, jak mi się zdawało, był przekonany, że tam mniej niebezpiecznie. Ponieważ miejsca tego nic nie chroni i w równych ono jest warunkach, jak wszystkie inne punkty wokoło, ufność ta w rzeczywistości jest zabobonem. Na myśl tu przychodzi gracz, który wielokrotnie straciwszy na jednej karcie, do końca jednak stawia na nią.

— Ty, Tymofejew, Bobrow, Anisimow!— wybiera feldwebel najbliższych żołnierzy i lekko a spiesznie dotyka ich ramienia.

— Marsz, prędko, z toporami, zburzyć chatkę tam! Pan idzie z wami!

Feldwebel się spieszy, oczywiście również go coś ciągnie na poprzednie miejsce, gdzie podobnie, jak dowódca jego, czuje się bezpieczniejszym. Żołnierze powstają i szybko razem się oddalają, wywijając toporami.

Domek był z drzewa, zbudowany na palach, zewnątrz obrzucony wapnem. Świetnie połyskuje wśród promieni słonecznych i wyborny stanowi cel dla dział nieprzyjacielskich. Gdy kule nie trafiają w domek, przenikają obok do bateryi. Topory z brzękiem uderzają o drzewo i wstrząsają domkiem. Gdy już ma runąć, wpada weń bomba i wybucha. Wznosi się przed nami gęsty, wysoki kłąb dymu, zmieszany z piaskiem i ziemią. Jednocześnie, rozlega się okrzyk przejmujący: „Dajcie nosze!— Aleksiejew zabity!“ Domek zburzony. Żołnierze spieszą, pędząc przez pola i zarośla, żeby dostać się do oddziału. I ja powracam. Za mną, kłusom prawie, niosą Aleksiejewa. Powrót gorszy stokroć. Ścigają nas bomby, wybuchające co chwila. Tylko widok generała, który ciągle jeszcze razem ze świtą swoją na tym samym stoi pagórku, wstrzymuje mnie od ucieczki. Granaty stają się coraz rzadsze, aż wreszcie jesteśmy po za obrębem linii strzałowej.

— Ekscelencyo! domek zburzony!—melduję, zbierając całą zimną krew i usiłując, o ile możności, okazać się spokojnym. Tylko jeden żołnierz raniony, dodaję wskazując na nosze.

— Po cóż mnie pan zajmujesz głupstwami? wybucha Skobelew nagle. Każ pan rannego umieścić w pewnej odległości od wojsk, aby nie wywołał złego wrażenia. A gdym już ponownie wsiadł na konia, woła za mną podrażniony: Czemuż to panu samemu nie przyszło na myśl!

— Oto masz podziękowanie, myślę sobie, odjeżdżając. Co za głupiec ze mnie! Pracuję wedle sił, narażam się na śmierć, a on jeszcze wymyśla. W pułku byłoby o wiele spokojniej: tam nikt nie narzeka, a nagrody z pewnością miałbym te same.

W takiem usposobieniu postanawiam, natychmiast po bitwie prosić o zaliczenie mnie do pułku. Wyobrażam sobie już zdziwienie generała, gdy zapyta Kuropatkina: Dla czegoż Wereszczagin chce wrócić do pułku? Niedorzeczność jakaś, niech

odbywa narady przy zamkniętych drzwiach, występuje z mowami w sejmach itd. Wszystko to są fakty nietylko znane, ale przez konstytucyę kraju uznane: jakimże więc sposobem mogą podlegać karze? Pierwotnie przypuszczano, że proces wydobędzie na wierzch jakieś nowe, głęboko zakopane, które posłużą za podstawę do udowodnienia winy — tymczasem skończyło się na cytatach z pism i przemówień socyalistycznych, które każdy może sobie odczytać i które obiegają swobodnie po całych Niemczech. „Sąd chemnicki — powiada jedna z gazet — przekreślił sztuczne rachunki i w działaniu socyalno-demokracyi nie odkrył ani spisku, ani tajemniczości, ani nieprawności. Oskarżonych uwolnił a państwo skazał na koszta. Musi ono wszakże dźwignąć jeszcze większy ciężar: procesem tym bardziej dźwignęło socyalno-demokracyę, niż by to uczynić zdołała najgorliwsza propaganda, i w tym kierunku wzmocniło skuteczność prawa wyjątkowego. Bo tak zwany „wpływ wychowawczy" owego prawa ujawnił się rzeczywiście w tej sprawie, ale korzyści pedagogiczne nie rząd osiągnął."

P. Józef Kościelski, członek deputacyi poznańskiej do ministra Puttkamera, ogłasza w pismach, że wskutek jej starań, robotnikom wiejskim, skazanym na niezwłoczne wydalenie (około 5,000 osób) pozwolono pozostać w Prusach do 1 kwietnia r. p.

Rezultat wyborów francuskich sprawił tu głębokie wrażenie, a w kołach rządzących — niezadowolenie. Napozór dziwnie, a nawet zabawnie brzmią słowa serdecznego współczucia dla pokonanych republikanów w piśmie wyznającem monarchizm — w *Nordd. Allg. Ztng.* Czytając je, mniemasz, że p. Pindter marzy o zajęciu krzesła poselskiego na lewym krańcu. A przecież dziwoląg ten tłomaczy się zupełnie interesem politycznym. Rzeczpospolita — to jest wróg malowany, malowany bardzo groźnie, ale w rzeczywistości nieszkodliwy. Deputacye alzacko-lotaryngskie mogą uderzać w struny przyszłego odwetu, wędrowni mówcy mogą po rozmaitych miastach błyskać nadzieją zemsty, myśl taka może pokutować w sercach całego narodu francuskiego, ale ostatecznie Rzeczpospolita, z natury i ustroju niezdolna do śmiałych przedsięwzięć wojennych, zadania tego nie spełni, a spełnić by go mogła tylko monarchia. Niewątpliwie pierwszem marzeniem i pierwszą dążnością monarchy francuskiego byłaby rehabilitacya tronu za pomocą szczęśliwej wojny — z Niemcami. Co ostatni cesarz francuski stracił, następca jego musiałby odzyskać pod groźbą nowego przewrotu. Przebąkują o tem dość wyraźnie wszystkie stronnictwa konserwatywne i jednają sobie zwolenników. Francuz dobrze słyszy, co mówią o jego rządzie, że jest to gromadka przechodniów, z którymi trwałych umów zawierać niepodobna, że u steru niema osobistości odpowiedniej do sojuszów, że każde mocarstwo w Europie lęka się tajemnych układów z państwem, przechodzącem co miesiąc lub tydzień pod inne przewodnictwo — itd. Tymczasem monarcha francuski byłby właśnie taką stroną, potrzebną do tajemnych kontraktów politycznych. Wiadomo, że ks. Bismark zalecał swym ambasadorom w Paryżu niezmienną przyjaźń dla republikanów. Te względy objaśniają sympatyę dyplomacyi niemieckiej dla zagrożonej Rzeczypospolitej i obawę przed powrotem monarchii. Poważna jednak większość (sto kilkadziesiąt głosów), jaką mimo porażki mieć będą w Izbie republikanie, łagodzi niemieckie strapienie, a nawet zamienia je na wynurzającą się powoli uciechę. Większość ta bowiem wystarczy zupełnie do utrzymania Rzeczypospolitej, mniejszość zaś do utrzymania rządu w ciągłych kłopotach a kraju w ciągłej bezsilności. O to właśnie chodzi. Jeżeli takie będzie ustosunkowanie stronnictw (po dopełniających wyborach) ks. Bismark zatrze ręce z radości.

Liber.

PO OBU BRZEGACH DUNAJU.

Znany ekonomista belgijski Emil Laveleye przedsięwziął niedawno nader pouczającą wycieczkę w kraje naddunajskie i dalej ku Bałkanom. Autor dzieła o własności pierwotnej zapragnął przedewszystkiem poznać bliżej te jej formy, które się dotąd zachowały w tej części Europy, tak zda się starej, a tak niedawno odkrytej dla cywilizacyi. Pragnął on także przekonać się naocznie, jaki postęp w kierunku ekonomicznym dokonany został od czasu berlińskiego traktatu w Bośnii, zajętej przez Austryę, w Serbii, będącej dziś Królestwem niezawisłem, w księstwie bulgarskiem, wyzwolonem prawie zupełnie z pod władzy tureckiej, i w Rumelii wschodniej, związanej jeszcze z Konstantynopolem słabym węzłem, „który z różnych stron przeciąć usiłują..."

Nikt może lepiej, niż p. Laveleye nie był przygotowany do wyniesienia obfitego plonu z tej naukowej wyprawy. Liczne stosunki w kołach wpływowych otwierały przed nim drzwi sezamów, zamkniętych dla zwykłego śmiertelnika, pozwalając korzystać z materyałów urzędowych i nieurzędowych dla niewielu dostępnych. Wiadomy przytem eklektyzm belgijskiego profesora, jego znane sympatye dla socyalizmu i chrześcianizmu, dla różnych form posiadania i władzy, czyniły go nader odpowiednim badaczem tych mało znanych krajów, gdzie tyle różnorodnych ściera się żywiołów i gdzie współczesna zachodnio-europejska kultura szczepi się na gruzach innych zupełnie urządzeń, wierzeń i obyczajów. W tych warunkach pisarz bardziej jednostronny gotów był dać nam obraz tendencyjny i mało do prawdy zbliżony. Bezwzględny zwolennik nowożytnego postępu przedstawiłby nam w pełnych zachwytu dytyrambach zwycięzki podbój tego półazyatyckiego barbarzyństwa przez światło i cywilizacyę Europy. Wielbiciel wieków średnich poprzestałby na pełnym chwalby opisie różnych zabytków, należących w zachodniej Europie downo już do historyi, a tu kwitnących jeszcze, badacz wreszcie azyatyckiego Wschodu zająłby się przedewszystkiem odgrzebywaniem resztek cywilizacyi i kultury, będącej dziś w upadku...

Laveleye tych wszystkich szkopułów uniknął szczęśliwie i dał nam obraz z wielu względów ciekawy i zajmujący, kreślony piórem łatwem i barwnem.

Nie wiemy, jak daleko autor zabrnął w swej wycieczce, w ostatnich bowiem zeszytach *Revue des deux mondes* pojawiły się dopiero opisy i sprawozdania z pobytu w Kroacyi i Bośnii.

I ten już atoli początek, z którego pospieszamy zdać sprawę, jest ze wszech miar ciekawym.

I.

Zaproszony przez biskupa Strossmayera dla poznania serbskiej *zadrugi*, czyli gminy rodowej, której resztki zachowały się jeszcze w Kroacyi, Laveleye pospieszył naprzód w odwiedziny do Djakowa. Wysiadłszy z wagonu kolejowego w Osieku, europejski wędrowiec znalazł już czekają-

---

zostanie! Jednocześnie wszakże zdaje mi się też, że słyszę, jak czytając raport, woła do Kuropatkina: „Wereszczagin chce do pułku, no, pal go dyabli, niech idzie; już go mam dosyć!"

— Bardziej na prawo, więcej z drogi! — mówię do żołnierzy, oddalających się z noszami. Generał tak go każe umieścić, aby wojska nie widziały wcale.

— Dokądże zanieść? — mruczą z niechęcią. Z twarzy ich można wyczytać myśl: Nawet umrzeć nie pozwalają mu w spokoju. Niosą rannego boczną drożyną, po przez wały i rowy. Na koniu zaledwie można podążyć za nimi. Stajemy dla odpoczynku.

— Czy żyje?

Schylam się nad rannym i spostrzegam twarz trupiobladą, obwiedzioną czarnymi włosami, o zaciśniętych, sinych ustach, z których sączy się piana; ze wszech stron zbiegają się muchy. Powieki nawpół przymknięte, widać przez nie oczy krwią nabiegłe; od czasu do czasu pierś wznosi się konwulsyjnie.

— Zdaje się, że zaraz umrze — powiadam do żołnierzy.

— Oddycha jeszcze — odpowiadają, patrząc w twarz umierającemu.

— Czy wolno nam teraz wrócić na drogę wielmożny panie?

— Dobrze, idźcie!

Zwolna idę za nimi, prowadząc konia za cugle.

W kilka chwil potem dogania nas Skobelew wraz ze świtą swoją.

— Wereszczagin! wybacz ojcze, byłem gorący nieco. Dzielny z pana człowiek, dziękuję! Ściska mi rękę po przyjacielsku.

Jakkolwiek niezupełnie wierzę w szczerość słów jego, gniew mój łagodzi się przecież, zapominam i, pełen zachwytu dla generała, podążam za rannym. Nie czynię tego z rozkazu, ale dla tego, że uważam siebie za mimowolnego sprawcę nieszczęścia i o ile możności prędko pragnąłbym ukoić cierpienia rannego.

Przybywszy na plac opatrunkowy, stawiamy nosze obok namiotu.

— Dla Boga, obejrzyj pan — proszę doktora, który schylony nad innemi noszami bada głowę jakiegoś rannego. Lekarz zażądał wody ciepłej, zwilżenia gąbki i przemycia rany. Włosy się przylepiły i przeszkadzają badaniu.

— Nożyczki!

Felczer, nędznie wyglądający, zmęczony, o piegowatej twarzy, grubych wargach i spłaszczonym nosie, flegmatycznie podaje nożyczki doktorowi. Raz jeszcze proszę lekarza, aby obejrzał mojego rannego.

— Mamże rzucić tego? — odpowiada lekarz, obstrzygując włosy zlepione.

— Gdzie pański chory?

— Tu leży.

— Sacharow! proszę ostrzydz włosy wokoło rany i przemyć ją, ja wracam w tej chwili. A więc chodźmy prędko. Gdzie, ten?

Bierze za rękę mojego Aleksiejewa.

— Po cóż wloką umarłego?

— Jakto? czyż nie żyje.

— Dotknij pan sam.

Podaje mi rękę umarłego — sam się waham.

Przez mundur rozpięty widać głęboką ranę w boku. Z rany sączy się coś białego. Dreszcz mnie przebiega.

— Więc jesteś pan przekonany, nie żyje?

Potrząsając głową lekarz oddala się szybko.

Przez powien czas jeszcze żołnierze stoją niezdecydowani, potem, zamieniwszy ze sobą kilka słów, zdejmują czapki, robią znak krzyża, skrobią się w głowy, znów je nakrywają i odchodzą, życząc mi szczęścia w przyszłości.

* *
*

cych nań: młodego księdza, sekretarza biskupa i rosłego pandura w uniformie węgierskiego huzara. Ruszono w drogę śliczną czwórką siwojabłkowitych rumaków krwi arabskiej, zaprzężonych do lekkiego powozu. Trzeba było przebiedz kilka mil drogi, ażeby dotrzeć do rezydencyi biskupiej. Podróżny rozgląda się ciekawie do koła. Przed bystrym wzrokiem obserwatora i ekonomisty nic nie uchodzi. Ubranie pandura przypomina mu niektóre epizody z historyi Węgier i kraj sam nad Cisą i za Litawą, który już zwiedzał poprzednio. Zajmuje go rasa spotykanych koni i konstrukcya wozów wieśniaczych; przypatruje on się uprawie rolnej i zasiewom a wreszcie osadom gospodarzy wiejskich i wsiom, złożonym z tych osad, skupionych razem. „Ugrupowanie to—powiada—zwane przez ekonomistów niemieckich *Dorfsystem* ma dwa powody: naprzód potrzebę wspólnej obrony a następnie dawny zwyczaj peryodycznego dzielenia wspólnych gruntów między członków gminy. Jeżeli w niektórych krajach, jak w Anglii, Holandyi, Belgii, w północnej Francyi domy i zabudowania gospodarskie leżą wpośród pól do osady należących, oznacza to, że własność prywatna i bezpieczeństwo publiczne istnieją tam oddawna.

Po drodze zatrzymują się podróżni na popas we wsi Sziroko-Poljo, gdzie mieszka przytem matka młodego księdza, wieśniaka. Laveleye wchodzi do chaty, przygląda się pilnie wszystkiemu i zawiązuje z gospodynią, przy pośrednictwie jej syna, ciekawą rozmowę na temat „zadrugi“ i starych obyczajów.

Stara kobieta niezadowolniona jest z czasów dzisiejszych. „W młodości mojej—powiada—większa część rodzin żyła społem, uprawiając zbiorowemi siłami ojcowiznę. Pomagano sobie i podtrzymywano się nawzajem. Jeżeli jeden z synów poszedł do wojska, inni pracowali za niego i dla niego, a ponieważ wiedział on, że czeka go zawsze miejsce przy wspólnym stole, wracał więc, jak mógł najrychlej. Dziś, gdy „zadrugi“ się rozwiązały, młodzi ludzie, wyszedłszy ze wsi, osiedlają się już stale w większych miastach. Ognisko domowe z swymi długimi wieczorami spędzanymi wspólnie, ze swemi pieśniami i uroczystościami straciło urok. Małe rodziny, żyjące oddzielnie, nie mogą się oprzeć chorobie, nieurodzajowi, zwłaszcza że podatki stają się coraz cięższe. Jeżeli przyjdzie jaka klęska, zadłużają się i wpadają w nędzę. Młode kobiety i zbytek rujnują do reszty nasze sioła, podkopując stare nasze i mądre zwyczaje. Kobiety chcą dziś mieć świecidełka, materye, trzewiki, roznoszone przez kolporterów wędrownych; dla kupienia ich potrzeba pieniędzy i żony skarżą się, gdy mężowie ich pracują dla drugich, dla zadrugi. Myślą one, że gdyby pracowali dla siebie wyłącznie, byłoby więcej pieniędzy. Stąd swary i kłótnie w zadrugach; życie staje się piekłem i gminy rozwiązują się. Wtedy każda rodzina musi mieć swe własne ognisko, swoje sprzęty, swoje zabudowania, wszystko swoje, oddzielne. Zimowe wieczory schodzą nudnie i smutno. Mężowie idą dla rozweselenia się i towarzystwa do szynku; żony pozostawione samym sobie szukają także rozrywek.

Żeby pan przytem wiedział—ciągnęła dalej wielbicielka starych czasów—co za paskudztwo sprzedają nam ci handlarze za drogie pieniądze! Obrzydliwe szklane i pozłacane klejnoty, niewarte dwóch krajcarów; złote i srebrne kolczyki i spinki, któreśmy dawniej nosiły, trwały długo i było nam z niemi bardziej do twarzy. Młode oszczędne dziewczyny naszych czasów za hafty i różne tkaniny mogły sobie były uzbierać ładny posag z cekinów i talarów Maryi Teresy, które nosiły na głowie, na szyi i u pasa. Złote te i srebrne monety pięknie błyszczały na słońcu, a pracowitej dziewczynie na ubiegających się o jej rękę nie zbywało. Zamiast naszych koszul z mocnego niezdartego płótna, utkanych w domu i pięknie wyhaftowanych, kupujemy dziś białą, niby i cienką perkalową bieliznę, która nie wytrzymuje trzeciego prania... Widział pan nasze narodowe obuwie, „opankę,“ kawał grubej skóry, przywiązywanej do nogi rzemieniami; obuwie to robiliśmy sami, nosiło się ono długo, było wygodne i ładnie wyglądało. Dziś kobiety nasze i mężczyźni noszą wiedeńskie butynki, drogie, niewygodne i nietrwałe, zupełnie niepraktyczne przy naszym błocie i naszych drogach. Po koszuli, niedzielą lub zimą nosiliśmy wełniane kapoty lub kożuchy, które ozdabialiśmy pięknymi, różnokolorowymi haftami przetykanymi złotem; teraz kupują jakieś surduty i zwierzchnie ubrania wiedeńskie, niewygodne w noszeniu i zużywające się szybko. Zdaje się to być tanie, bo dla zrobienia jednego naszego ubrania potrzeba było pracować całe miesiące; nasza odzież jednak trwała latami i przechodziła od starych do młodych, gdy dzisiejsza zużywa się szybko i wymaga ciągle nowych wydatków... A nasze stare pieśni, które nucono koło wspólnego ogniska, pracując razem; młodzi już ich nie umieją i śmieją się z nich, a jednak one nas rozweselały i uczyły... Uczeni, jak wy panie, zapewniają, że wszystko idzie coraz lepiej. Ja jestem tylko starą biedną kobietą, mówię, co widzę i słyszę... Widzę też teraz w naszych wsiach żebraków, pijaków i kobiety złego prowadzenia, czego dawniej nie bywało. Podatki dziś płacimy dwa razy większe, krowy zaś nasze nie rodzą więcej cieląt niż dawniej i plonów nie zbieramy obfitszych...“

Po wysłuchaniu tych skarg na złe czasy obecne, gdy podróżni podążali znowu ku Djakowu, Laveleye odezwał się do swego towarzysza podróży w te słowa: „Matka wasza ma słuszność. Ubrania i zwyczaje miejscowe, zastosowane do warunków danej okolicy, miały w sobie wiele dobrego. Żałuję ich zanikania nietylko jako artysta, lecz i jako ekonomista. Porzucają je dziś dla odzieży i obyczajów, przybywających z Zachodu, reprezentujących cywilizacyę i modę. Tak zwany postęp jest to niepowstrzymana lokomotywa, która burząc po drodze wszystkie dawne zwyczaje, dąży do przemiany całej ludzkości w jednorodną masę od Paryża do Kalkuty, i od Londynu do Honolulu. Na narodowem tradycyjnem ubraniu nic się nie traci, gdy tymczasem ciągłe zmiany mody rujnują przemysłowców, a publiczność pobudzają do zmiany i zbytków.“

— To też ks. biskup Strassmayer—odrzekł zagadnięty—nie szczędzi usiłowań, ażeby podtrzymać przemysł domowy.

Podróżni zbliżali się nareszcie do Djakowa. Jest to miasteczko, liczące do czterech tysięcy mieszkańców, przeważnie kroatów, między którymi jest kilkuset żydów. „Oni to—mówił towarzysz belgijskiego publicysty—trzymają cały handel w swoich rękach, drobny i hurtowny; oni kupują zboże, drzewo, wełnę, wszystko wogóle aż do drobiu i jaj. Kredyt i kapitały są także w ich rękach. Te oto domy w głównej ulicy a w nich sklepy zawalone przeróżnymi towarami—wszystko to do nich należy. Na 16 sklepów, które są w Djakowie, dwa tylko należy do chrześcian. Muszę wyznać, mówił młody ksiądz, że żydzi są bardziej od nas przedsiębiorczymi i umieją chodzić koło swoich interesów.“ Zupełnie jak u nas—moglibyśmy dodać.

Pojazd zatrzymuje się nareszcie przed pałacem biskupim. „Nie mogę się powstrzymać — pisze Laveleye— od żywego wzru-

---

Zawracam konia. Południe — gorąco. Generał usadowił się w cieniu jednego z drzew, niedaleko od wzgórza, tuż przy oficerach kazańskiego pułku. Kilka kroków przed nimi gra muzyka pułkowa. Nierzadko w bliskości spadają strzały nieprzyjacielskie i ziemią obrzucają muzykantów. Jednemu z przestrachu trąba wypadła z ręki, podnosi ją, trwożliwie patrząc na zwierzchnika.

— Która godzina, panowie! — woła Skobelew.

Kto ma zegarek, pomimo woli go wydobywa, patrzy i stara się dowieść generałowi, że mu chodzi najlepiej.

— Wpół do pierwszej.

— A więc, panowie, jeśli Dobrowolski ze swoją brygadą nie przybędzie za pół godziny, sam panów poprawadzę do ataku na Czerwoną Górę.“

To mówiąc, na myśl o czekającej go przyjemności, zaciera ręce z ukontentowaniem, potem gwałtownie poprawia gęste swe, rudawe faworyty, jakby miał zamiar rozedrzeć je na dwoje.

Przeszło pół godziny, a Dobrowolskiego nie było.

— A więc z Bogiem, panowie! Pułkowniku Tobiakinie! Każ pan ustawiać się. Saperzy naprzód! — zakomenderował Skobelew. Rozwinąć chorągwie!

Dowódcy batalionów i kompanij śpieszą wykonać rozkaz. Nieopodal leżący żołnierze zaczynają się ruszać, wstają i robią znak krzyża, ściskają się, żegnają i stają w szeregu. Dowódcy kompanij wychodzą na czoło oddziałów swoich i obnażają szable.

— Chorągiew do trzeciego batalionu! — dodaje Skobelew. Muzyka naprzód!

Pułk rozciąga się w milczeniu.

Otoczony świtą swoją Skobelew nerwowo spogląda na Czerwoną Górę. Rozesłał już kilku ordynansów, którzy mieli zarządzić wzmocnienie ognia artyleryjskiego przeciwko temu punktowi. Czekam, rychło i ja zostanę wysłany. Generał w samej rzeczy szuka koło siebie, komuby jeszcze ten sam można dać rozkaz.

— Jedź pan prędko wzdłuż bateryj — woła — każ o ile możności najsilniejszy skierować ogień ku Czerwonej Górze, powiedz, że ją atakujemy.

Usłuchałem z wielką niechęcią. Spełzła nadzieja moja, że będę mógł być przy Skobelewie i widzieć, jak on osobiście pułk prowadzi do boju.

— Na ramię broń! — słabo brzmi z pośród przednich kompanij. Gdy się oglądam, żołnierze schodzą z góry i znikają wśród zieleni. Kilku pozostało w tyle; poprawiają mundury, zarzucają broń na ramię, robią znak krzyża i biegnąc, dopędzają swoich towarzyszy.

— Wzmocnijcie panowie ogień na Czerwoną Górę — wołam na oficerów, mknąc szybko koło bateryj. Sam generał pułk kazański prowadzi do boju!

— Słyszymy, słyszymy! — wołają i dają znaki, że już są powiadomieni. Na następnych bateryach powtarza się zupełnie to samo. Tymczasem pułk postępuje naprzód. Od strony bateryj widok doskonały: pierwszy batalion szybko leci na dół, za nim drugi, trzeci. Ich „hurra“ zaledwie dosłyszalne. Tureckiej piechoty niepodobna rozróżnić. Kazańczycy otaczają górę. Armaty nasze kierują się ku nim.

— Nieszczęście — myślę po drodze — zabijamy naszych.

— To nasi — krzyknąłem do dowódcy bateryj — dając koniowi ostrogę. Zaprzestań pan ognia, tam na górze są nasi!

— I ja tak myślę — odpowiada — ale co robić? Gdzie chleb — tam i okruchy.

W tej chwili kula wpada w środek naszego batalionu i rozpryskuje się. Czy byli zabici, dojrzeć nie mogłem. Za mną w cwał pędzi Kuropatkin.

szenia na widok tego szlachetnego starca, wielkiego apostoła słowian południowych. Ściska on mnie serdecznie w swych ramionach, mówiąc: „Przyjacielu i bracie, bądź pozdrowiony. Jesteś tu między przyjaciółmi i braćmi.“ Gospodarz odprowadza swego gościa do osobnej komnaty, zalecając mu wypoczynek po dalekiej podróży. Z wypoczynku tego korzysta Laveleye, ażeby nakreślić w głównych zarysach sympatyczną postać djakowskiego biskupa.

Ponieważ gorliwy działacz w sprawie kroackiego odrodzenia interesuje nas bliżej, postaramy się więc powtórzyć szczegółową jego charakterystykę, jaką podaje publicysta belgijski. Będzie to niejako hołdem z naszej strony, oddanym biskupowi z Djakowa w siedemdziesięcioletnią rocznicę jego urodzin, którą w tym roku obchodził.

(D. c. n.).

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

J. Szujski **Dzieła**, wydanie zbiorowe serya I, tom I. Poezye. W Krakowie, w drukarni *Czasu* 1885, nakładem rodziny VIII, 443, 8° m.

Komitet wydawniczy dzieł Szujskiego pod przewodnictwem prof. Zolla, rozgatunkowawszy je podług rodzaju i treści, podzielił na trzy serye. Pierwsza obejmuje poezye oryginalne i tłomaczone, powieści, rozprawy z zakresu literatury polskiej lub obcej, wreszcie przemówienia i sprawozdania Szujskiego—serya ta wydaje się pod ściślejszą redakcyą prof. Tarnowskiego. Druga, historyczna pod kierunkiem prof. Smolki, obejmie, oprócz znanych czterech tomów *Dziejów* i treściwie opowiedzianej *Historyi Polski*, mniejsze rozprawy, wydane przez autora w dwóch tomach *Opowiadań i roztrząsań*, tudzież prace, które on w zbiorze tym pominął, a prócz tego z rękopisów i wykładów jego niektóre, dotąd nigdy niedrukowane. Trzecia wreszcie, pod redakcyą prof. Bobrzyńskiego, zawiera pisma polityczne Szujskiego, zarówno te, które odnoszą się wprost do wypadków politycznych, jak i te, które mają charakter, albo dążność studyów społecznych. Wszystkie trzy serye wychodzą równolegle. W handlu księgarskim ukazał się dopiero tom I seryi I., obejmujący drobne poezye, zebrane z czasopism, gdzie były po raz pierwszy umieszczone, albo wydano z autografów, ułożone chronologicznie i opatrzone potrzebnemi objaśnieniami przez prof. Tarnowskiego.

W okazałej szacie zewnętrznej, oraz w staranności, z jaką gromadzono i objaśniono każdy najdrobniejszy wierszyk, niegodzien wspomnienia, widać cześć wydawcy dla zgasłego przyjaciela i koryfeusza Stańczyków, lecz nam trudno się zgodzić na tę metodę. Szujski spisał przed śmiercią wszystkie prace, które w zbiorowem wydaniu chciał umieścić. P. Tarnowski trzyma się tego spisu, pozwoliwszy sobie parę razy od niego odstąpić, kiedy wiersz, przez autora pominięty, wydawał mu się charakterystycznym. Nie sądzimy, aby takie postępowanie było właściwem. Albo szanujemy zupełnie ostatnią wolę autora i jesteśmy jej wykonawcami, albo dokonywamy wydania według wymagań naukowych. Pośrednia w tym wypadku droga, którą obrano, okazuje się także z innych względów niepraktyczną. Szujskiemu, który z zapalonego „tromtadraty“ został jeszcze gorliwszym „Stańczykiem,“ była nie miłą cała działalność z tej pierwszej epoki; dla tego też opuścił w owym spisie wszystkie wiersze gorętsze... pomieszczane w „warcholskim“ *Dzienniku literackim* albo w spiskującej *Czytelni dla młodzieży*. P. Tarnowski wybrał z tej epoki tylko dwa: „Credo“ i „Obłąkani.“ A szkoda wielka, że pominął inne, bardziej charakterystyczne; drugie zbiorowe wydanie poezyi S. nie wyjdzie ani za lat 50—bo należą one i dziś jak do historyi—obecne zaś daje błędne wyobrażenie o twórczości i dążeniach Szujskiego.

Szujski miał talent wielostronny, był politykiem, dramaturgiem, publicystą, powieściopisarzem, krytykiem, historykiem, literatem, satyrykiem, poetą lirycznym— nie mówiąc o działalności jego w Akademii i w uniwersytecie, w redakcyi, w życiu społecznem. Okoliczność ta, wynikająca z krewkości i rzutkości jego charakteru, odbiła się niekorzystnie na poezyach, które potrzebują spokoju i skupienia wewnętrznego. Szujski nawet jako historyk nie miał zmysłu do analizy psychologicznej, ani też daru plastyki; widział on w historyi „mistrzynię życia“ i był dziejopisem tendencyjnym, naginającym nieraz wypadki do swej doktryny, a jaka to była doktryna, o tem wiemy wszyscy. W poezyach występują te wady z całą jaskrawością. Muza S. jest przedewszystkiem refleksyjną, dydaktyczną, strasznie rozwlekłą i monotonną, ostatnie jej słowo, ostatnia mądrość: „Trzymajcie się krzyża...“

Rozpoczynają zbiór dwa wierszyki, wywołane wypadkami 1846 r. okazujące w dziesięcioletnim chłopcu niezwykłą siłę uczucia, która cechuje utwory jego patryotyczne. W „Poważnych chwilach,“ zakończonych jezuicką formułką „Ad majorem Dei gloriam,“ widać już dokonaną metamorfozę; „Alleluja“ jest pierwszym wyrazem uspokojenia i poddania się po wypadkach 1863 r. „śladem tych uczuć i postanowień, które wtedy powzięte wydały wszystkie jego późniejsze pisma i czyny.“ „Stańczyk“ jest owocem historycznej epoki. Osobną grupę stanowią Satyry, z rodzaju Horacego, pisane w ostatnich latach z nadzieją, „że gdzie proste, szczere słowo nie poradzi, tam działać może ironia.“ Szujski lubiał tej broni używać— w publicystyce, w dramacie, w rozmowie miał zawsze w zanadrzu chłoszczący bicz satyry. „Śmierć proroka“ jest jakiemś misteryum biblijnem, pisanem pod wrażeniem śmierci Mickiewicza i poświęconem cieniom mistrza. „Tajemnica śmierci hetmańskiej“ (Żółkiewskiego) jest jedynym śladem historycznego powołania poety w młodszych latach. „Pan Rożnowa“ powstał z wrażeń i wspomnień Sadeczyzny, z którą łączyły autora liczne związki pokrewieństwa i przyjaźni. „Sługa grobów“ daje najlepiej poznać miłość poety do wawelskiego grodu, która była jednem z najrzewniejszych uczuć autora *Historycznych wędrówek po Krakowie*—i po wszystkich wiekach naszej przeszłości... „Obrona św. Częstochowy“ „Rok polski“ i „Historya szlachcica na bruku“ kończą cykl wierszowanych powieści, w których występują wyraźnie wady Szujskiego: brak prostoty i naturalności pod względem formy, a zacofanie i tendencyjność pod względem treści. Uzupełnieniem do tej pierwszej doby są wspomnienia p. Tarnowskiego umieszczone w *Przeglądzie polskim* (1885 VII 461) p. t. „Szujskiego lata szkolne,“ wiążąco się ściśle z niniejszem wydaniem.

Z.

— Zaprzestać ognia! nasi są na Czerwonej Górze — woła bez tchu. Wereszczagin, pośpiesz pan zawiadomić o tem baterye pozostałe!

Działa umilkły. Potyczka skończona, góra w naszych rękach. Straty zdawały się niewielkie. Wyjeżdżam na szosę. Tu spotykają mnie ranni. Nieopodal, z boku, pod drzewem na noszach leży oficer; kilka osób troskliwie krząta się koło niego.

— Dzień dobry, setniku! — słabym głosem wita mnie znajomy dowódca kompanii, lekko schylając głowę.

— Co panu jest? gdzie pan ranny jesteś? czy lekko?

— Tak, widzisz pan, tu gdzieś! — z wysiłkiem pokazuje na ramię i odwraca się ponuro.

— Nie stawać, odnieść dalej z Bogiem!— nagli oficer jakiś, kolega rannego.

Jeszcze o wiorstę od miejsca, w którem szosa skręca ku Łowczy, wjeżdżam na górę. Strona do nas zwrócona pokryta jest robotami fortyfikacyjnemi. Od podnóża góry począwszy, wszędzie trupy nieprzyjacielskie; szczególnie wielka ich liczba u wierzchołka, gdzie stały działa.

— Patrz, jak mu urządzili buzię! Oderwali całą szczękę — mówią do siebie żołnierze, przyglądając się trupom. Leży tu czarny turek brodaty, twarz jego nurza się w piasku, a ręce wyciągnięte. Jeden z żołnierzy końcem buta odwraca mu głowę. Wszyscy mu się przypatrują, robią uwagi, spluwają i idą dalej. Wyraźnie stąd widać miasto. Po za niem reduty. Godzina czwarta. Wzmaga się ogień karabinowy, zaczyna się walka ogólna. Z tej strony Osmy żołnierze cisną się wzdłuż wybrzeża i szukają przejścia. Tam dalej również są nasi. Jeszcze dalej—również... ho! ho! W jak wielkiej liczbie tu się gromadzą!

— Wielmożny panie, generał się gniewa, że nikt nie został przy nim, wszyscy odjechali—donosi mi kozak galopem przybywający ku górze.

— Gdzie generał?

— Pojechał tam, ku miastu!

Jadę dalej. U stóp góry pasem szerokim biegnie szosa i zwraca się potem w stronę miasta. Na prawo otwiera się widok na reduty nieprzyjacielskie. Ośm dział zaciecie bucha przeciwko nim. Na chwilę umilka to jedno, to drugie. Dym wokoło...

— Nie widziałeś generała? — pytam artylerzystę spotkanego.

— Właśnie przejeżdżał z kozakiem, do miasta pewnie.

— Czy miasto oblężone?

— Piechota przedtem już tam poszła.

Puszczam się w pogoń.

U spodu góry szosa styka się z mostem. Po obu stronach stoją budy nawpół zburzone, miasto całkiem próżne. Domy zrabowane, szyby rozbite, drzwi na oścież otwarte. Wszędzie naczynia z drzewa, miedzi i gliny, poduszki, kołdry, suknie, skrzynie, książki i całe góry tytoniu. Z ulicy głównej wjeżdżam na cmentarz, za którym jeszcze miasto rozciąga się daleko. W środku cmentarza widzę Skobelewa i Kuropatkina zajętych rozmową. Aleksy Mikołajewicz odjeżdża gdzieś krótkim galopem, pałasz jego buja to w jednę, to w drugą stronę i kiedy niekiedy dotyka grzbietu konia. Zanim szybko dąży kozak doński, bez piki, pochylony stojąc w strzemionach. Generał podjeżdża do mnie i woła rozdrażniony:

— Natychmiast udaj się pan do księcia Imerytyńskiego i koniecznie sprowadź mi pomoc, nie mniej jak dwa bataliony. A teraz naprzód, prędko!

— Ekscelencyo, gdzie was zastanę?

— Tu na tym placu.

— Służę.

Puszczam się co koń wyskoczy. Ogień karabinowy do strasznej wzrósł potęgi i zlał się w jeden nieustający huk, jakiego nie słyszałem nigdy ani przedtem, ani potem. Było to coś niepodobnego do wiary,

„KUŹNICA KOŁŁĄTAJOWSKA.“

II.

(Trębicki, Dmochowski, Mejer, Konopka, Dembowski).

„Dla oswojenia umysłów z ideami nowemi i dla nagięcia opinii ku łącznemu działaniu z kuźnicą — powiada Smoleński — oprócz pamfletów używał Kołłątaj bezpośredniego wpływu ludzi ruchliwych, śmiałych i zdolnych, których śród różnych sfer towarzyskich potrafił odszukać i zjednać.“ Było ich dwunastu, przenikali oni do wszystkich warstw społeczeństwa i urabiali w nich opinię. Może najwięcej zdolności i energii posiadał w tem gronie Antoni Trębicki, regent wojskowy, prawnik, dzielny mówca. Spajał on „kuźnicę“ z sejmem a gdy zawiązał się „klub“ przyjaciół reformy, był ważną siłą tego motoru politycznego. W klubie bowiem układano plany walki i wnioski sejmowe, tam przygotowywano ustawę 3 maja. W kilku ważnych sprawach Trębicki odegrał główną rolę — np. w uznaniu zażaleń szlachty kurlandzkiej, mieszczaństwa itd. Gdy Kołłątaj, pomimo oporu szlachty, która zalecała swym posłom, ażeby go nie dopuszczali „do żadnych ministrów“ i nie uwalniali od kar „za pisma szkodliwe,“ wszedł do rządu, zaczął wysuwać towarzyszów, a więc i Trembickiego.

Drugim pomocnikiem osławionego „Katyliny“ był ks. Franciszek Dmochowski, nauczyciel, tłomacz, dowcipny pamflecista. Ostatnią tę zdolność okazał on zwłaszcza w walce przeciw ograniczonym (jak Trzciński) lub bzikowatym (jak Przybylski) profesorem wszechnicy krakowskiej. Wspólnie z Trębickim potykał się mężnie z przeciwnikami nowej konstytucyi, którzy zachęceni *Uwagami* Dyzmy Tomaszewskiego kruszyli tępę i spruchniałe kopie w obronie starej wolności, a raczej swawoli.

Targowica, zawładnąwszy krajem, rozpędziła „kuźnicę,“ której członkowie bądź skryli się, bądź uciekli za granicę. Pragnęła ona ich wyłowić i wytępić. W Lipsku i Dreznie, łącznie z Ignacem i Stanisławem Potockimi oraz Dmochowskim, opracował Kołłątaj znane dzieło *O ustanowieniu i upadku konstytucyi 3 maja*, w którem, obok świetnej krytyki politycznej, stanęła namiętność w sądzeniu innych i nieprawda w przedstawieniu siebie. Tam również dojrzała myśl buntu, który wkrótce wybuchnął i w którego ogniu mistrz i czeladź kuźnicy nabrali barwy czerwieńszej. Barwa ta jaskrawo odbiła się w czynach, kiędza Majera, Konopki i Dembowskiego, bohaterów rewolucyi ludowej w Warszawie za rządów Kościuszki. Nie możemy tu za Smoleńskim kreślić nawet konturów tego, skądinąd znanego obrazu gwałtownych wybuchów i krwawej zemsty; przytoczymy tylko jeden szczegół, charakteryzujący ówczesną chwilę. Od 1 lipca (1794) Dmochowski zaczął wydawać pismo codzienne p. t. *Gazeta rządowa*, w której zamieścił rachunek kasy trzech dworów z doby sejmu delegacyjnego, wyszczególniający imiennie pensyonowanych dygnitarzy. Między innymi znalazł się tam — Stanisław August z sumą 6,000 czerw. zł. Obrażony król, tem boleśniej odczuwszy oskarżenie, że ono wyszło z gazety *rządowej*, przesłał następujące sprostowanie: „Tak ciężko dotknięty i tak niesprawiedliwie dzisiejszą gazetą rządową, mam prawo i potrzebę żądać najwyraźniejszej retraktacyi w tych słowach w gazecie jutrzejszej. Prawda a zarazem słuszność wyciąga wyrazić w gazecie dzisiejszej, że to, co w gazecie wczorajszej było napisano, z mylnego źródła pochodziło, ponieważ król od żadnego dworu nigdy pensyi nie brał i te tylko sumy przyjął od trzech dworów, w r. 1773 Polskę dzielących, które remanentami pozostały były w ekonomiach: mohylewskiej, malborskiej, samborskiej. Dan d. 25 sierpnia 1794 r. Stanisław August król.“

Wypadek ten przekonywa, jak sponiewieranym był monarcha, który musiał do dziennika rządowego pisywać sprostowania.

Niewątpliwie F. Jezierski był w „kuźnicy“ Kołłątajowskiej czeladnikiem najzdolniejszym, szczegółowe przeto zajęcie się nim jest usprawiedliwione. Zdaje nam się wszakże, iż Smoleński zbyt szkicowo przedstawił innych. Szkicowość ta uderza jeszcze bardziej w metodzie autora, który znakomicie zestawia i porządkuje wypadki, oblicza w nich ściśle uczestników każdego z działaczów, ale nie kreśli wcale *charakterów*. Opowiada on nam sumiennie i wyczerpująco, co każdy bohater zrobił, ale nie mówi, kim był, nie analizuje go psychologicznie, nie ujmuje rozproszonych znamion w jedną całość, nie chce być — jeśli tak rzec wolno — historykiem-powieściopisarzem. Usprawiedliwiającą okolicznością może tu być niedostatek materyału, wielość punktów ciemnych, objawów zagadkowych; ale z drugiej strony źródła dziejowe rzadko, a raczej nigdy nie dają badaczowi wszystkich rysów każdej postaci: musi on je dopełniać intuicyą, odgadywać hipotezą. Gdyby ograniczył się tylko na tem, co dobywa ze świadectw wiarogodnych i sprawdzonych, nie utkałby wątku dziejów, nie wskrzesił żadnego bohatera. Choćbyśmy np. wyszperali i zgromadzili najdrobniejsze szczegóły, odnoszące się do Jezierskiego lub Mejera, od których oddziela nas niecały wiek, zawsze uczulibyśmy brak wielu objaśnień. Toż samo spotyka nas w życiu współczesnem, gdzie patrzymy na ludzi z blizka i możemy ich badać bezpośrednio. Mimo to zarówno w powieści, jak w historyi, czytelnik szuka charakterów wyraźnych i dokładnie wycieniowanych.

Kładziemy nacisk na ów wzgląd przy książce Smoleńskiego tem śmielej, że autor jest nietylko uczonym, ale i artystą, zdolnym takie zadanie podjąć i szczęśliwie spełnić. Kuźnica zaś Kołłątajowska, w której pracowało tyle rozmaitych i oryginalnych postaci, w której ścierało się tyle namiętności, która wywarła potężny wpływ i stworzyła gorączkowy ruch polityczny—nastręczała wdzięczną ku temu sposobność.

Nie liczmy się wszakże z wymaganiem naszem, ale z tem, które autor sam sobie postawił. Chciał on nakreślić dzieje „kuźnicy,“ jej skład osobisty, działalność, program i wpływ. W tych granicach sądzona jego książka wyszła z bogatym zasobem naukowym, posiada wartość wielką i siłę przyciągającą niezaprzeczoną. Już z powyższych przytoczeń czytelnik dostrzegł, że Smoleński odsłonił jeden z najciekawszych obrazów naszej historyi. W tej dobie obsiano glebę naszą ziarnami płodnych, myśli, które w obecnem życiu znajdujemy rozwinięte i dojrzałe, chociaż mniej swobodnie rosnące. Zwłaszcza zaś to koło, w którem głos *Prawdy* się rozchodzi i które bacznie śledzi losy postępu polskiego, znajdzie w pracy naszego autora wiele rzeczy ciekawych. Zrozumie ono przytem, jaką to podstawę miały owe dziś już coraz rzadziej i ciszej odzywające się zaklęcia obmowy, która kiedyś krzykliwie upewniała, że obecny nasz liberalizm niema korzeni w przeszłości narodu, że go wiatr przyniósł z obcych krain, że go inny wywie i zmiecie. Książka Smoleńskiego legitymuje go z praw obywatelstwa i znakomitych przodków. Rzecz dziwna, chociaż

---

a pochodziło stąd, że w tej chwili właśnie 8.000 nieprzyjaciela tuż przy redutach starło się z 20,000 naszych. Oniemiał grzmot armat, świstały tylko kule z karabinów. Zabrzmiały okrzyki „alla“ i „hurra.“ Wszystko to działo się na przestrzeni jednej wiorsty kwadratowej.

Imeretyńskiego wraz ze sztabem zastałem na Czerwonej Górze, z której szczytu śledził za przebiegiem ataku.

— Mości książę, generał Skobelew żąda posiłków—rzekłem.

— Pułkowniku Parencowie—zwraca się książę do naczelnika sztabu — co jeszcze mamy w rezerwie?

— Pułk E...ski, mości książę!

— Więc daj pan batalion.

— Mam rozkaz, mości książę, nie wrócić bez dwu batalionów — powtórzyłem śmiało.

— A więc, cóż będzie? Weź pan dwa.

Książę pytająco zwrócił się do Parencowa.

— Pułkowniku G...w, każ uformować dwa bataliony. Setnik Wereszczagin je poprowadzi, oświadcza naczelnik sztabu dowódcy pułku małemu, wąsatemu pułkownikowi o twarzy nader sympatycznej. Dowódca woła: Pierwszy i drugi batalion pod broń! Potem zbliża się do konia swojego. W kilka chwil potem, pożegnawszy Imeretyńskiego, ruszamy. Spostrzeżono nas na redutach. Jakkolwiek było do nich trzy wiorsty co najmniej, kule poczęły przelatywać nam nad głowami. Obok mnie jechali z całą powagą dowódca pułku i komendanci batalionów. Kiedy niekiedy zapytywali mnie, dokąd ich prowadzę, gdzie generał. Przebywamy most, idziemy przez ulicę i zbliżamy się już do miejsca oznaczonego. W tem wydarzyło się coś niespodzianego. Podczas gdy przeciągamy ulice, wszystko idzie dobrze, nieprzyjaciel nas nie widzi, z rzadka świszczą kule zbłąkane. Już cmentarz mamy przed sobą. Ale gdzie Skobelew? Nie widać go. Zaledwie ukazaliśmy się na placu, nieprzyjaciel rozpoczął przeciwko nam tak morderczy miotać ogień, iż natychmiast ustał ruch. Co na placu—to nieżywe lub ranne. Kule wirowato padają na płoty gliniane i na ściany domostw. Cofają się przednie szeregi żołnierzy i cisną się na tych, co stoją z tyłu; ci znów pchają się naprzód. Panuje zamieszanie najzupełniejsze. Pułkownik i dowódcy pułków zeskakują z koni i spieszą na róg, szukając osłony; ja za nimi. Trupy zagradzają drogę i przeszkadzają poruszeniom. Ranni czołgają się na kolanach, szukając ratunku.

W tej chwili z przeciwległej strony cmentarza, z jednej z uliczek, nie spiesząc się wcale i zupełnie spokojny, powolnym krokiem nadjeżdża Skobelew.

Nie domyśla się jeszcze, w jakim jesteśmy nieładzie. W oka mgnieniu siedzę na koniu i mknę ku niemu.

— Bataliony tu są! Dlaczegoście je sprowadzili tutaj?—woła i spostrzega nagle, co się dzieje.

Wpadł we wściekłość prawie.

— Co się tu dzieje? Porządek, porządek! Zarąbię was, kanalie!

Z obnażoną szablą pędzi ku żołnierzom.

— Gdzie oficerowie, gdzie dowódcy batalionów? Nazad, odprowadźcie ich bocznemi drogami!

W dwie minuty może wszystko poprzedni odzyskało pozór: tą samą ulicą równym krokiem w porządku przeciągają bataliony i po manowcach opuszczają miasto. O wiorstę za nami wznoszą się reduty nieprzyjacielskie.

Lecz zaledwie uszliśmy sto prętów, porucznik Karandiejew z raportem dogania generała.

— Turcy uciekają, ekscelencyo, kozacy ścigają ich.

Walka skończyła się o godzinie szóstej wieczór.

---

ze względu na warunki historyczne, całkiem naturalna, że owymi przodkami wolnomyślicielstwa naszego byli — księża. Kołłątaj, Jezierski, Dmochowski, Staszyc i wielu innych byli najradykalniejszymi reformatorami społeczeństwa. A co dziś nam sutanny w swych fałdach niosą?

H.

LIBERUM VETO.

Przyczyny zmniejszenia się czytelnictwa. — Systemat kłamstwa. — Ścieśnione widnokręgi i zakrywanie życia. — Skutki. — Dramat w *Gaz. warsz.* — Orzeszkowa w starej chacie. — Ofiara Lubomirskiego. — Myśli samobójcy. — Lekcya grzeczności w *Kuryerze codz.* — Czem bardziej grzeszymy. — Legendy o poległych pod strzałami krytyki. — Marya Bartusówna. — Kto winien — Wysokie *cis* i jego czciciele.

Bezimienny korespondent w liście do nas oblicza, że od r. 1880 przybyło nam 3 dzienniki i 16 pism peryodycznych, razem 19 wydawnictw, które przelały pełną już miarkę i spowodowały zmniejszenie się prenumeraty każdego z dawniejszych. Niewątpliwie, zależność między tymi dwoma faktami istnieje i bez daru proroczego można przewidzieć czas wielkiej między naszemi pismami śmiertelności. Oparte na rzeczywistych potrzebach utrzymają się przy życiu, zbyteczne wymrą tak szybko, jak powstały. Ale nadmierny rozrost pracy nie tłomaczy nam zmniejszenia się prenumeraty wogóle, zwłaszcza że każdy nowy organ wytwarza powne koło nowych czytelników. Tu stanowczo jeden ciężarek rzuciła na szalę bieda, drugi—obojętność, a trzeci... O trzecim chcę dziś słów kilka powiedzieć. Niektóre z pism naszych ukarane zostały spadkiem abonamentu poniekąd sprawiedliwie. Nie wszyscy ludzie ssą z tej samej piersi, natura więc ich musi być odmienną. Pojmuję, że można być konserwatystą, klerykałem, wstecznikiem itd., ale nie pojmuję, jak można być w służbie publicznej łgarzem z zasady. Jeżeli zakładam pismo postępowe, wolno mi szerzyć idee tego kierunku, wolno mi cenić wszelkie jego objawy, ale nie wolno ani milczeć, ani kłamać przed czytelnikami o tem, co się dzieje po przeciwnej stronie. Ks. Kalinka lub prof. Smolka, p. W. Szymanowski lub K. Zalewski nie są naszymi współwyznawcami; mimo to zdajemy sprawę z każdej ważniejszej ich pracy. Tymczasem pisma konserwatywne, oprawiając w złoto najlichszy wiór własnego podwórza, przemilczają zupełnie nawet o klejnotach piór postępowych. I gdyby tylko przemilczali! Zdarza się bowiem nieraz, że w ogólnych wywodach, w obliczaniu, wprost przekreślają niemiłe pozycye i tym sposobem przedstawiają czytelnikom fałszywe rachunki. Świeżo wyszła *Kuźnica Kołłątajowska* W. Smoleńskiego, nic to nie będzie przeszkadzało jakiemuś „uczciwemu" i „porządnemu" publicyście napisać za kilka miesięcy: „nasz znany badacz dziejów p. Pstrąg *zamierza* w osobnej monografii nakreślić kuźnicę Kołłątajowską, która *dotąd nie doczekała się* swego historyka." Taka „rzetelność" panuje w innych dziedzinach życia. Zawsze autor postępowy jest schowany, a czytelnik konserwatywny—oszukany. To fałszowanie życia w pismach peryodycznych, które powinny być wiernem jego odbiciem, odbywa się na niską skalę. Jeżeli w zakątku prowincyonalnym siedzi szlachcic, odcięty od świata i oglądający go jedynie z „poważnej" gazety, widzi zaledwie drobny jego skrawek, jednostajny, szary, i ubogi. Pomału okpiwany i w nieświadomości trzymany biedak ulega temu losowi, co ów bohater Suego, któremu ściany pokoju jezuici zapisali zdaniami z Biblii, obrzydzającemi doczesność. Dla społeczeństwa jest to szkoda, że masa jego członków nie zna całości życia, a dla kłamców ten skutek, że ich czytelnicy, dostrzegłszy nierzetelności, albo znudzeni ciasnotą widnokręgu—porzucają gazetę.

Przechwałkami wypchano u nas olbrzymiego konia, którego dosiadają rycerze konserwatyzmu, ile razy wyruszają na czele „ogółu." Ów „ogół" ma być zachowawczym, o liberałach słyszeć nie chce, lubi tylko stare kuchnie i stare studnie, bo w nowych wykrył truciznę. Tymczasem nawet najpoważniejsi czytelnicy gazet wkrótce przekonywają się, że na samych zdrowych pokarmach umysłowych chudną, że im malarię zachowawczą bardzo skutecznie usuwa „arszennik." Właśnie *Gazeta warszawska*, opukawszy i osłuchawszy swoich abonentów, postanowiła im zalecić ten trujący środek w małych dawkach. Arszenikiem będzie E. Orzeszkowa, której powieść ma być w tem piśmie drukowaną. Wydawca francuski lub angielski zrobiłby to dawno i uważał za rzecz zwykłą; nasz ustępuje dopiero konieczności. Wyobrażam sobie, ile cierpień doznała, ile walk przeszła redakcya *Gazety warszawskiej*, zanim zdecydowała się na ten krok rozpaczliwy—ona, która była najbardziej przekonaną, że cały nasz ruch postępowy—to szereg wybryków niedowarzonej młodziczy, że nawet Sienkiewicz, święty Sienkiewicz ma przed sobą *przyszłość* pewną, Głowacki—wątpliwą, a inni, niepamiętający obrad nad bilem zbożowym w Anglii, nie warci są nawet miejsca w spisach bibliograficznych. I Orzeszkowa między tymi bazgraczami była tylko najpłodniejszą, chociaż jako kobieta, przebywająca w obozie bandy wolnomyślnej, najnieprzyzwoitszą. Stara, ciasna chata, której ściany ozdobione obrazami świętych, litografowanymi wizerunkami głośnych mężów stanu i fotografiom powiatowych znakomitości, otwiera swe drzwi na przyjęcie niewiasty z frygijską czapeczką na głowie, niewiasty, której imieniem straszono tam niesforne dzieci! Współczuję smutek tego niezamiatanego i nieprzewietrzanego domku!

Współczuję również inny, jaki niewątpliwie ogarnął naszą arystokracyę, ugodzoną doniesieniem, że Aleksander Lubomirski zapisał 2 miliony (?) franków na zakłady i szkoły dla biednych chłopców w Krakowie, a cały swój majątek zamierza przeznaczyć na podobne instytucye w innych miastach polskich. Skromnie licząc, szanowny filantrop miał kopę krewnych, wzdychających do jego szkatuły — tyleż serc zakrwawiło się! Nie należy zresztą do dobrego tonu robienie tak szczodrych darów społeczeństwu. Internat dla „młodzi szlacheckiej," towarzystwo rolnicze, kilka stypendyów, opatrzonych tuzinem warunków, wreszcie legat dla klasztoru—to po pańsku; ale ofiary dla „chłopców" i to jeszcze ofiary milionowe, które wielką fortunę magnacką rozpuszczą w dobroczynności—to pachnie gminem, nie zdradza krwi „niebieskiej." Zwykliśmy odtwarzać sobie proces myślenia samobójców przed śmiercią: otóż co myślał ten samobójca arystokratyczny, szlachetny dziwak—Lubomirski? Może tak rozumował:

— Miliony te składają się z groszów, które praca tysiąców biednych ludzi składała w haraczu moim przodkom. Mamże je przekazać spadkobiercom na zbytkowne życie, czy też oddam ubogiemu społeczeństwu? Wesprę ogół, zamiast uszczęśliwiać kilka jednostek; tym sposobem przywrócę choć w drobnej cząstce zachwianą równowagę sił ekonomicznych, wydobędę na wierzch bezwładną masę ludzi pracowitych, a nie strącę w otchłań próżniactwa i pasorzytniczej wygody całego szeregu panków.

Pod tem natchnieniem ujął rewolwer—przepraszam—pióro i zapisał swoje skarby narodowi. Czy tam gdzieś pod Kockiem lub Pułtuskiem nie siedzi jakiś daleki krewniak, który po śmierci filantropa zechce unieważnić jego wolę—za to nikt ręczyć nie może.

Jeżeli ten krewniak czuje się obrażonym, niech prześle swą skargę do *Kuryera codziennego*, który dał naukę „brutalom" krytyki, „śledziennikom." „srogim rębaczom," „krzywdzicielom talentów," traktującym „swe ofiary po barbarzyńsku" i mającym „niedźwiedzie dotknięcia." Cała ta litania imion „brutalstwa," danych mu na chrzcie w świątyni *Kuryera*, przypomina mi „grzecznego" rotmistrza z anegdoty, który upominając żołnierza za nieprzyzwoite odezwanie się wobec pewnej damy, oblał go takim kubłem łajań, że aż ona z rumieńcami uciekła. Między dwoma pismami oblanemi przez *Kuryer* znalazła się *Prawda*, która jednak rotmistrza naśladować nie będzie i odpowie tylko, że on się myli. Nasza krytyka bowiem daleko częściej grzeszy przesadą w uwielbieniach, niż naganach. Ułożyła ona powien słownik zdawkowych pochwał, któremi darzy równą miarką ludzi bardzo nierównej miary. Skutkiem tego różnice w stopniach uzdolnień i talentów zupełnie zacierają się, a pierwszy lepszy jednoroczny ochotnik literatury nosi znaki tej samej rangi, co jej hetmani. Po przeczytaniu pewnego sprawozdania teatralnego byłem najmocniej przekonany, że w teatrzyku Towarzystwa Dobroczynności pojawił się duch Starego Fredry, a tymczasem był to sobie poczciwy cieśla, który przed zimą, w braku innego zajęcia, spłodził komedyę, czego później bardzo żałował. Jeżeli krytyka nasza powinna obciąć sobie paznokcie, to przedewszystkiem powinna do rąk wziąść miotłę.

Członkowie towarzystwa opieki nad rannymi w wojnie literackiej od czasu do czasu wystawiają na widok publiczny poległych, którzy mieli paść, ugodzeni zatrutymi pociskami krytyki. Wyznaję, że w te legendy, osnute na obecnych stosunkach, nie wierzę. Więcej bowiem widzę miernot na wysokich szczudłach, niż geniuszów na marach. Bywają strzały zatrute, bywają uderzenia niesprawiedliwe, ale od nich nikt nie ginie. A jednak — powie ktoś — Marya Bartusówna, poetka utalentowana, umarła „w nędzy." Czy ją wszakże zabili krytycy, którzy—o ile pamiętam—nie szczędzili nieboszczce uznania? Jeżeli tu kto winien, to tylko ci, którzy pozostawali z nią w literackich stosunkach i nie ratowali w ubóstwie. Szczupłe są środki *Prawdy*, a jednakże nie pozwolilibyśmy umrzeć z głodu żadnemu jej współpracownikowi. Gdybyśmy nie podołali sami, odezwalibyśmy się o pomoc do innych, wreszcie do ogółu. Literat w kłopotach pieniężnych—to wypadek bardzo zwykły, ale od tego jest cech, ażeby towarzyszom w niedoli podał rękę. Nie jest zaś taki ratunek zbyt trudnym dziś, kiedy każde niemal pismo uczuwa brak pracowników. Niech więc autorowie tkliwych nekrologów, którzy znali położenie materyalne Bartusówny, nie robią wymówek nikomu, prócz sobie—i niech przyjmą od niej z za grobu wiersz „do śmierci:"

Przybliż się blada! przybliż się cicha!
Odsłoń twe lica, spokojem piękne!
Ludzkość cię cała z trwogą odpycha—
Ja się nie zlęknę!
Chociaż nie wierzę, by twoja ręka
Do złotych niebios wiodła podwoi,
Wierzę, że w grobie ból już nie nęka—
Ciszą się koi...
Wierzę, że losu wściekłość bezsilna
Do walk daremnych tam już nie zbudzi,
I że cieplejsza ziemia mogilna
Od... serca ludzi!..

Biedny słowiku, czemuż nie byłeś tenorem i miałeś talent poetycki zamiast wysokiego *cis*!

Owo złotodajne *cis* zaczyna już ludzi ochładzać. Zarówno w Paryżu jak w Warszawie spuchnięte od oklasków ręce zaczynają wypisywać żale, że tenorowie w swych wymaganiach pieniężnych przeszli już możliwą granicę, od której trzeba zawrócić ku dołowi. Człeczyna głupiutki jak dudek, posiadający tylko w gardle wysoką nutę, każe sobie za nią płacić jak Brennus za zwycięstwo. Skarży się publiczność, skarżą się teatry? Dziwne jęki! Egoizm jednostki ma być wstrzemięźliwszym niż rozum masy. Czemu śpiewak nie ma brać wielkich sum, kiedy mu je dają, kiedy go podniesiono po nad najwyższe szczyty geniuszu ludzkiego? Natura darowała mu głos, a ludzie uczynili go cudem świata. Ci sami krytycy, którzy dziś wołają: dosyć! byli nauczycielami bezmyślnego bałwochwalstwa dla gwiazd operowych. Ogłupili publiczność a teraz ją nawołują do rozsądku, wmówili w rozmaitych *cisów* wielkość, a teraz chcą ich zmniejszyć. Nie leczcie tenorów z chciwości, uleczcie panowie siebie z popędu do niedorzecznych przed nimi pokłonów.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Prosty sposób ratunku. — Usługi starych dębów i sosen przekazane tradycyą młodemu pokoleniu leśnemu. — Marnotrawcy ubezwłasnowolnieni. — Na oślep. — Telegrafista - - szewcem a dyrektor banku złodziejem. — Pomnożone współpracownictwo. — Antigiermanizm w zarządzie kopalni dąbrowskiej.

Podczas gdy ziemianie wyszogrodzcy rozmyślali nad sposobami podniesienia, albo raczej ratowania rolnictwa, ekonomiści z nad Wilii, również przyciśnięci niedolą, wynaleźli prosty i niezawodny sposób zdobycia „gotówki"—boć o tę gałganicę zawsze i wszędzie chodzi. Dzięki temu sposobowi własność większa nietylko zasypuje sobie przepaść, ale stwarza nawet wspaniały widok poetyczny. „Walą się puszcze i bory" — pisze korespondent *Wieku* z nad Wilii, który ogląda z bliska te obrazy. Ustępuję mu głos, gdyż maluje rzecz barwnie i realnie: „Wyrąbywanie lasów postępuje ciągle, przyczem trudno upatrzeć jakiejbądź prawidłowości lub systematyczności. Sprzedaje każdy, potrzebujący gotówki. W braku innego kredytu, jest to jedyne źródło ratunku. Stare dęby i sosny wyciągnęły już niejednego z ostatniej toni, gdy zaś starych nie staje, młodsze pokolenie leśne tę samą usługę oddaje. Źródło to jednak, z którego od lat już tylu czerpiemy, niezasilane i nieotaczane opieką ludzką, jakby należało, grozi wyschnięciem w niedalekiej przyszłości. Zwróciło to już uwagę rządu, który, podzieliwszy lasy na pewne kategorye, ma wyrąb ich poddać pewnym prawom i przepisom. Rozumie to dobrze również większość ziemian, ale zaradzić złemu nie jest w stanie, bo w chwili kryzysu, gdy idzie o utrzymanie się i egzystencyę, usunąć ostatniej deski ratunku nie sposób. Wyjątkowe to położenie nasze usprawiedliwiać więc musi choć w części to macosze obchodzenie się z lasami." „Usprawiedliwiać musi" — co to za pociecha! Faktem jest, że dawniej „stare dęby i sosny wyciągały z toni" ziemian, a dziś ich wyciąga „młodsze pokolenie leśne," że las stał się w wielu rękach skarbcem marnotrawców, ze skutkiem tego aż rząd położył tamę tej niszczącej gospodarce. Czy to nie wstyd, że cała klasa ludzi, uważających się za ukształconą, za czoło narodu, musi być ubezwłasnowolnioną, jak waryaci lub nieletni? Powie ktoś, że dziś jest lepiej, że smutne doświadczenia nauczyły lekkomyślnych rozumu? Posłuchajcie dalej korespondenta *Wieku*, jak on opisuje ten rozum. „Ceny i warunki na jakich się sprzedaż dokonywa, zdradzają niejednokrotnie albo *grubą nieświadomość rzeczy* lub nagłą potrzebę gotówki. Ten przejaw ostatni występuje coraz częściej. W żadnym też handlu nie padamy tak łacno ofiarą naszej nieświadomości, jak w leśnem. Sprzedajemy *najczęściej na oślep.* Miejscowy zaś żywioł kupiecki jest doskonale poinformowany o materyalnej sytuacyi każdego z ziemian; wie dobrze, kiedy, przyciśnięty okolicznościami, będzie musiał przyjąć niższą cenę i mniej dogodne warunki. Czyha na tę chwilę i korzysta z niej. Ciężki rok obecny, upadek cen i zabójcza stagnacya handlowa zmusza wielu, wobec zaległych rat bankowych, podatków etc. do nowej eksploatacyi lasów. Ze wszystkich stron gubernii, dochodzą wciąż świeże wieści o dokonanych już sprzedażach lub przeznaczonych na wyrąb lasach. Każdy niemal majątek ma coś z nich do zbycia. *Jest to swego rodzaju konkurencya*, z której korzystają kupcy, ofiarowując coraz niższe ceny. I tak, p. X. sprzedał 10 tysięcy sosen po 3 rs. sztuka, od 12 cali na wybór, w odległości 8—12 wiorst od rzeki spławnej. O mil zaś kilka drugi obywatel za podobne sosny, w tychże samych warunkach, wziął obecnie zaledwie *po 1 rs.* Pan Y. zbył kilkanaście włók lasu po 1,200 rs. za włókę, gdy sąsiad jego, także sam las mający, żąda tylko po tysiąc rubli, a żydzi ofiarują mu zaledwie 800 rs. za włókę, chociaż przed kilku miesiącami dawali więcej."

Istotnio, czy takich gospodarzów nie należy brać w kuratelę? 1,200 rs. za włókę lasu! Można by już rzucić zasłonę na te czasy, kiedy to „stare dęby i sosny wyciągały niejednego z toni," gdyby po marnotrawcem *wczoraj* miało nastąpić oszczędne *jutro*, ale wobec powyższych faktów, ujawniających grubą „nieświadomość rzeczy," do czego tu przyczepić jakąś nadzieję, na czem oprzeć wiarę w ludzi, którzy znają tylko sztukę trwonienia?

Gdzieś, w jednem z miast powiatowych, żył sobie telegrafista, który kochał swoją piękną żonę i dwoje ślicznych dzieci. Ale ponieważ miłość nie piecze chleba, więc go często brakło. Przyciśnięty niedostatkiem, on — okradł kasę? brał do swej kieszeni opłaty za depesze? Nie — on nauczył się szewctwa, a ona szycia rękawiczek. Dziś mają co jeść i — sławę. Tak, sławę, bo *Kuryer warsz.* unieśmiertelnił bohaterską parę. Zamknąwszy oczy na oślepiający nas blichtr, szych, świetne pozory, na całą ekonomiczną blagę, którą czcimy — zastanówmy się: jakąż my jesteśmy gromadą dumnych i obłachmanionych grandów, jeśli telegrafista — szewc a jego żona — rękawiczniczka budzą w nas podziw! Uczymy się historyi, która nam opowiada, że skromni rzemieślnicy otwierali w niej nowe epoki — i mimo to w nędzy nawet usiłujemy pozostać „szlachtą." Gdyby niejeden z tych, których „stare dęby i sosny wyciągały z toni," nie gardził był pracą, dziś nie potrzebowałoby mu podawać ręki „młodsze pokolenie leśne."

Krzeczkowski zaś nie potrzebowałby być złodziejem. Ale proszę wystawić sobie wrażenie wiadomości, że dyrektor filii Banku polskiego w Włocławku ma — warsztat szewcki! Ściągnęłaby ona na niego może tyle hańby, co doniesienie, że ukradł sto kilkanaście tysięcy rubli. Znajomi i przyjaciele również opuściliby go, żadna przyzwoita dama nie przyjęłaby zaproszenia do domu człowieka, który „kala" swoje stanowisko szewctwem. Ponieważ zaś pensya nie wystarczała, więc wybrał drogę „szlachetniejszego" zarobku — okradł kasę bankową. Z początku nie miał występnego zamiaru, sądził, że wzięte pieniądze odda, że je zyska na... na czemś? Na czem? Tej zagadki nie rozwiązywał, ale był pewnym, że ją rozwiąże. Tą pewnością zbliżył się do chwili, w której pozostawało mu już tylko: ukraść jeszcze więcej i uciec. Po takiej pochyłości zsuwa każdego „arystokracya" przekonań, która każe wstydzić się pracy i żyć nad stan. Ów telegrafista rzezimieszkiem nie będzie — ale też pewnie nie używa „szacunku."

Liczba współpracowników gazet, karmiących „większą własność" ziemską, od kilku tygodni wzrosła znacznie: kto tylko bowiem potrzebuje parobka lub dziewki, ogłasza publicznie, że przyjmie na te miejsca wygnańców pruskich. Nie rozumiem wystawy tych ofert, które mogłyby cicho popłynąć do zajmujących się losem wydalonych, zwłaszcza że tu filantropia ma słabszy udział, niż interes. Dobrze czynię, dając pracę nieszczęśliwemu, ale ostatecznie będę z niej korzystał, więc nie mam z czem się popisywać.

Ziemianie nasi — trzeba im to przyznać — szczerze odczuli niedolę wygnańców i pragnęliby ją ułagodzić pomocą lub odwetem. Dotąd wszyscy nie cierpimy niemców (czy długo?), ale już chyba najdalej w antigiermanizmie poszedł zarząd Towarzystwa francusko-włoskiego w Dąbrowie. Jak donosi *Gazeta kielecka*, przed kilku tygodniami w tamtejszej kopalni węgla zawalił się chodnik, zarysowała powierzchnia ziemi, a w kilku domach popękały ściany. Obecnie znowu grozi pożar z powodu zapadnięcia góry z pozostałemi częściami filarów węglowych. Obawa ta jest uzasadnioną, gdyż gaz zaczyna się rozszerzać tak dalece, że w chodnikach sąsiednich musiano wstrzymać roboty i zamurować przestrzeń, gdzie się zdarzyła katastrofa. Wobec tych niebezpieczeństw zarząd Towarzystwa zamierza swoje kopalnie sprzedać — niemcom. Nie jestże to najnamiętniejszy antigiermanizm? W Berlinie wszakże nie boją się go i mówią:

— My zgasimy pożar, wstrzymamy gaz — i będzie nam dobrze.

J. Nieborski.

TYDZIEN POLITYCZNY.

Warszawa, d. 15 października.

Dziwny bardzo charakter przybrał ruch polityczny ludów słowiańskich na półwyspie Bałkańskim. Wzmógł się on raczej, aniżeli osłabł, a jednak wypadki nie posuwają się wcale naprzód. Możnaby powiedzieć, że ruch ten z postępowego stał się wirowym. Ludzie i rzeczy kręcą się z niesłychaną szybkością, ale ponieważ kręcą się w kółko, więc stoją ostatecznie wciąż na tem samem miejscu. Najdziwaczniejsze, najnieprawdopodobniejsze wieści zapełniają skutkiem tego szpalty dziennikarskie. Wiadomość dzisiejsza, która przeczy wczorajszej, jest przez jutrzejszą zaprzeczona. Dziś Agencya północna donosi, że sułtan na unię z Bułgaryą zezwala, a jutro oznajmia, że bułgarska deputacya została w Konstantynopolu zaresztowaną, a pojutrze prostuje, że i aresztowanie deputacyi bułgarskiej było wymysłem i o zezwoleniu sułtana na unię nikomu się nie śniło. To konferencyi ambasadorów w Konstantynopolu przypisują zamiar przywrócenia dawnego stanu rzeczy i bronienia nienaruszalności traktatu berlińskiego, to znów podsuwają jej myśl oddziaływania na sułtana dla skłonienia go do uznania zjednoczonych Bułgaryj. O Turcyi jednocześnie twierdzą, że nie postąpi ona kroku wbrew woli mocarstw europejskich i że wcale ich zdania zasięgać nie będzie, lecz uczyni tak, jak jej własne interesy nakażą. Nawet Serbii, tak wytrwale dążącej do przewagi

na półwyspie Bałkańskim i tak nieprzyjaźnie usposobionej ku Bułgaryi, przypisywano przez chwilę pojednawcze zamiary, oparte na mniemanem porozumieniu między prezesem ministeryum serbskiego Garaszaninem i ministrem spraw wewnętrznych Bułgaryi, Karawełowem.

Rozejrzeć się w tym chaosie sprzecznych doniesień niema możności — zaznaczymy więc tylko, że według ostatnich depesz armia serbska rozpoczęła ruch z dwóch stron przeciw Sofii; że gabinet ateński zawiadomił poufnie Portę, iż wojska greckie będą musiały wkroczyć do Macedonii, jeżeli dawny stan rzeczy nie zostanie na Półwyspie przywróconym; że wojska bułgarskie zajęły przesmyk dragomański i fortyfikują się tam, aby pochód armii serbskiej na Sofię powstrzymać; że onegdaj urzędownie zapewniono, iż żadne państwo nie wystąpiło z określonemi propozycyami co do Bułgaryi; że wczoraj niemniej urzędownie zaręczano, iż mocarstwa zgodziły się na przywrócenie poprzednich stosunków w Rumelii i postanowiły udzielić Turcyi upoważnienie do przeprowadzenia tej uchwały; wreszcie że w tej chwili czytamy w depeszy z Wiednia, iż o żadnej uchwale takiej nie było mowy, a memoryał konferyi wyrażał tylko naganę Bułgaryi z powodu złamania traktatu berlińskiego. Tak można streścić telegramy dzisiejsze i wczorajsze, lecz jutro przyniešć nam może zupełnie odmienne wiadomości.

We Francyi z natężoną uwagą wyczekują uzupełniających wyborów, które w dniu 18 października rozstrzygnąć mają o jej losach. W Paryżu zgodzono się na ułożenie jednej listy, obejmującej nazwiska tych 34 kandydatów, którzy w dniu 4 b. m. otrzymali największą liczbę głosów. Na tej podstawie ma nastąpić zjednoczenie się czasowe partyj republikańskich we wszystkich departamentach, i gdyby udało się je przeprowadzić, republikanie odnieśliby zwycięstwo. Trudno jednak wierzyć, aby partye tak odmiennych dążności zdołały się we wszystkich częściach Francyi porozumieć. Ugoda to tem trudniejsza do przeprowadzenia, że pociągnęłaby ona za sobą w swych skutkach zupełny upadek partyi oportunistycznej, której kandydaci w pierwszym dniu wyborów okazali się wszędzie prawie w mniejszości. Jeżeli oportuniści poświęcą interesy stronnicze dla utrzymania rzeczpospolitej, to w przyszłem zgromadzeniu wystąpią na widownię dwie tylko wpływowe partye: radykalno-republikańska i zachowawczo-monarchiczna.

CUDZE GŁOSY.

Wiek przytacza następujący wyjątek z artykułu *Petersb. Wiedomosti*, malującego położenie rosyjskich robotników w drobnym przemyśle:

„Człowiek zdolny jest pracować za tak nędzne wynagrodzenie, że ono nie starczy mu na pokarm najlichszy. Może on pracować taniej od wszelkiego zwierzęcia. Utrzymanie kota kosztuje, dajmy na to, u nas w mieście 2 do 10 kopiejek na dobę: na tyle można ocenić pożywienie, jakie to zwierzątko otrzymuje bądź ze sklepiku, bądź z domowych resztek obiadowych. Tymczasem są okolice w centralnych przemysłowych guberniach rosyjskich, gdzie całe gromady robotników poprzestają na daleko mniejszym zarobku; są miejscowości, gdzie robotnik zmuszony jest zadawalniać się zarobkiem wynoszącym *jedną trzecią część kopiejki za dzień pracy*. Niedawno specyalna komisya z ramienia ministeryum skarbu zbierała dane statystyczne, dotyczące przemysłu wiejskiego włościańskiego. Z tych i innych wiarogodnych źródeł *Wiestnik Finansów* obliczył między innemi, że w powiecie szujskim włościańska tkaczka, pracując dzień cały nad tkaniem płótna lub czerwonych chust i fartuchów, zarabia *od 10 do 12 kopiejek miesięcznie*, to jest tyle właśnie, ile kosztuje nakarmienie jednorazowe kota w pierwszym lepszym kramie spożywczym w Petersburgu. Prząśniczka w powiecie aleksandrowskim w gub. włodzimierskiej zarabia jeszcze mniej, nie rzuca jednak zajęcia dlatego tylko, że uzupełnia to wynagrodzenie, kradnąc gospodarzowi przędzę, ile jej się uda. Wszyscy tkacze w gubernii moskiewskiej, a jest ich 35,000, wyrabiający tkaniny bawełniane, znajdują się w takiem położeniu, że dochody ich nie starczą na zaspokojenie najelementarniejszych potrzeb organizmu. Normalny ich zarobek przy *12 do 19 godzin* pracy dziennej nigdy nie przewyższa 6 rubli na miesiąc; po fabrykach jednak zarabiają już tkacze i tkaczki do 13 i 14 rubli miesięcznie. Fabryczna robota, dzięki zwłaszcza pewnemu uregulowaniu jej w ostatnich czasach przez prawodawcę, opłaca się teraz lepiej, niż praca na własną rękę, a w pewnych warunkach prawdziwem bywa dobrodziejstwem. Jednak fabryk nie ma tyle, aby każdy robotnik znaleść mógł zajęcie; część robotników zaledwie los ten godny zazdrości spotyka. Tak naprzykład w tejże gubernii moskiewskiej ludność, pracująca na własną rękę, ma się w stosunku do pracującej po fabrykach jak 5 do 1. Przyczynę tak szczupłych zysków, jakie wyciąga włościanin z pracy przemysłowej, prowadzonej samodzielnie, upatrują w tem, że praca rzeczona uzupełnia tylko zazwyczaj włościaninowi w ciągu zimy zyski, jakie daje mu uprawa roli podczas miesięcy letnich a właściwiej mówiąc—dopomaga mu żyć, bo z samej ziemi rzadko kiedy zdołałby się wyżywić, zwłaszcza w mniej żyznych guberniach, gdzie wszelkiego rodzaju niedobory w tej mierze są chroniczne. Dodać należy, że pośrednicy, skupujący wyroby włościańskie, płacą bardzo często owe tak liche wynagrodzenie w naturze, to jest mąką, krupami itd., licząc je sobie po wygórowanych zwykle cenach."

Gazeta polska w korespondencyi ze Szląska donosi:

„W żywej i wdzięcznej pamięci pozostaje u nas hojna ofiarność, z jaką w czasie ostatniej głodowej klęski na Górnym-Szląsku niosło Królestwo, a zwłaszcza Warszawa, pomoc Górnoszlązakom.

Wiadomo, jakie stąd wynikły trudności i gorycze dla ś. p. Karola Miarki, na którego ręce dary wasze w pieniądzach i naturaliach nadchodziły.

Rząd położył wtenczas areszt na 18,000 marek z Królestwa nadesłanych i wziął je w depozyt; następnie zabrał z poczty sumę 30,000 marek, które pod adresem ś. p. Miarki także z Królestwa do Górnego-Szląska nadeszły.

Konfiska pierwszej sumy nastąpiła podobno dlatego, że Miarka kwotę tę, celem zapobieżenia zabraniu jej, deponował w kasie kółek włościańskich, jakie właśnie urządzał dla podniesienia stanu chłopskiego. Rzeczone kółka nie były przecież wtenczas jeszcze rozpoczęły działania swojego; uwięzienie zaś ich inicyatora i twórcy, które niebawem nastąpiło, istnienie ich uniemożniło (*sic*). Na reklamacyę najpierw owych 18,000 marek odpowiedziała regencya, że, ponieważ wspomniane kółka faktycznie nie istnieją, władza nie wie, komu sumę tę doręczyć.

Załatwienie tej jasnej zresztą sprawy, a niezawodnie wydostanie i drugiej sumy, tj. później dla Górnego Szląska nadesłanych z Królestwa 30,000 marek, poruczono jednemu z adwokatów gliwickich; ma on wnieść ponowną reklamacyę do rządu, a gdyby takowa pozostała bez skutku, ma użyć drogi sądowej."

PRASA ROSYJSKA.

Ruś słusznie zaznacza sprzeczność, w którą wpada rosyjskie dziennikarstwo z powodu Bułgaryi. Przez kilka lat z rzędu rosyjska prasa oburzała się, że traktat berliński rozłączył Bułgaryę z Rumelią, a obecnie domaga się ona, aby zjednoczoną Bułgaryę oddać pod władzę Turcyi.

„Jaki powód namawiać Rosyę do takiego zwrotu? Jaki powód zniewalać ją aby zaparła się swoich pragnień, dążeń i czynów, tak niedawno krwią własną przypieczętowanych? Czyżby dla tego, że p. Petko Karawełow raczył obrazić Rosyę?—że jakiś tam Rajko, albo Nika Stambułow okazał jej nie dość uszanowania?—że książę Battenberg z Darmstadtu nie odpowiedział naszemu zaufaniu? Nie ulega wątpliwości, że przewrót, dokonany przez tych ludzi, jeżeli nie przyczyni się do utwierdzenia ich władzy, to w każdym razie zapewnia im tryumf na dzisiaj; prowadzą oni rzecz swoją bardzo zręcznie i umiejętnie—trzeba im oddać tę sprawiedliwość. Przypuśćmy, że taki tryumf ich osobisty, podbity fałszem, nie może nie oburzać. Rosya obok tego czuje się tutaj jakby oszukaną, wyprowadzoną w pole. Ale nie powinniśmy zapominać, że z drugiej strony książe Aleksander—to jeszcze nie Bułgarya, a bułgarska „inteligencya" w osobie Karawełowa i spółki—to wcale jeszcze nie naród bułgarski. Bułgarya i naród bułgarski nic nie są winne tym sztukom, na które patrzymy. Naród ten do tej chwili jest w gruncie przekonany, i armatami mu tego nie wyperswadujesz, że przewrót i zjednoczenie Bułgaryi stały się w myśl tajnego polecenia Rosyi, i choćby mu tam do śmierci wmawiała rosyjska agentura dyplomatyczna, każdy prosty bułgar powie sobie: „polityka..." i uśmiechnąwszy się dobrodusznie, ale znacząco, doda: chitry Moskov..."

Niepodobna też nie zgodzić się na pogląd *Rusi*:

„że w Petersburgu uporczywie nie chcą zrozumieć żywego, organicznego związku zewnętrznej polityki z wewnętrzną i naiwnie sądzą, iż można jednocześnie stać na stanowisku antynarodowościowem w dziedzinie zewnętrznej, a narodowościowem w dziedzinie wewnętrznej polityki!!...

Ruś, dodamy od siebie, popełnia odwrotny błąd; w polityce zewnętrznej stojąc na stanowisku narodowościowem, opuszcza to stanowisko, gdy chodzi o kwestye wewnętrznej polityki.

Petersb. Wiedomosti, rozgniewane na wszystkich i wszystko, walczą również z gazetami węgierskiemi, nadającemi zbytnie może znaczenie przemowie Tiszy w sejmie węgierskim.

„Zabawny, śmieszny to dla nas widok tych madziarów, usiłujących wydąć swą „Hungaryę" do rozmiarów olbrzymiej wyroczni losów świata. Co to są owi madziarowie... co Hungarya?.. Madziarowie—to dwa, dajmy na to trzy do czterech milionów plemienia hunnów, których potomkowie wzbogacili cywilizacyę obcisłymi pantalonami, gulaszem z czerwonym pieprzem i kleistą pomadą, dającą wąsom pozór stwardniałych mysich ogonków. Hungarya—to coś lichszego może jeszcze od fantastycznych włości potemkińskich w Noworosyi. W Hungaryi za parawanem parlamentaryzmu, swobód konstytucyjnych i równouprawnienia narodowościowego, pod cieniutką, licznemi szczelinami usianą warstwą kultury, panuje dzika pierwotność obyczajów, grube okrucieństwo w tej samej dziedzinie stosunków międzynarodowościowych, nieład w finansach, pustki w skarbcu, przedajność w administracyi, przedajność wyborcza w reprezentacyi, nieudolność w przemyśle, żydowszczyzna w handlu, głupowatość jednostronna w literaturze, naiwny szowinizm w sztuce.

Hungarya napozór pełna siły wewnętrznej, w którą wierzyć zdolna tylko pani Adam, jest w rzeczywistości tak słaba, że niespodziana jedynie klęska pod Sadową i rutyniczne hołdowanie Austryi ekwilibrystyce politycznej zdolne jest wytłomaczyć obecną jej przewagę w monarchii habsburskiej. Chwilowa rachuba tylko strzeże i podpiera istnienie tego translitawskiego „mocarstwa;" ale jak tylko Wiedniowi przestanie ono być potrzebne, Siedmiogród, Banat i komitat Słowacki mogą być wyeliminowane z tej fikcyi politycznej i stać się autonomicznemi, a „wielkie mocarstwo" pójdzie na grzyby i będzie miało tylko samo „in der oesterreichischen Krone" znaczenie, jak Szląsk albo Dalmacya."

Nowosti piszą z powodu konferencyi stambulskiej.

„W tej chwili wszystkie nadzieje spoczywają znowu na dyplomacyi, względem której zwykle tak sceptycznie się zachowujemy. Ma ona znowu powstrzymać rozstrzygnięcie sprawy wschodniej. Za punkt wyjścia służyć będzie w każdym razie fakt spełniony. To przynajmniej jest rozsądne. Czyżby jednak nie było lepiej, kiedy już chodzi o przejrzenie traktatu berlińskiego, spieszyć się i z tego dyplomatycznego aktu usunąć wszystko, co mogłoby dostarczyć powodu do nowych rozruchów na półwyspie Bałkańskim?... Lud rosyjski dawał zawsze dowody wielkości swego ducha i swych zdolności dźwigania się nawet z najtrudniejszych położeń. I teraz je złoży, jeżeli będzie potrzeba. Niechże dyplomacya opiera się na tej dziejowej sile rosyjskiego ludu, niechże w przyszłych obradach śmiało i wysoko sztandar rosyjski dzierży. Słowianie na nowo muszą się przekonać, że Rosya nie powstrzymuje rozstrzygnięcia kwestyi, że jest ich przyjacielem i protektorem.“

Nowoje Wremia patrzy jeszcze sceptyczniej na ową konferencyę:

„Jest to środek zyskania na czasie, ale nie widać żadnej rękojmi, aby narady doprowadziły do zadawalającego rozwiązania kwestyi bułgarsko-rumelijskiej, a tem mniej, aby można liczyć na pomyślny rezultat, gdyż interesy mocarstw nietylko nie są identyczne, ale co do niektórych punktów wprost nawet sobie przeciwne... Nad dawnemi, smutnej pamięci konferencyami teraźniejsza ma tylko jedną wyższość, a mianowicie ogólne i tym razem zupełnie szczere życzenie mocarstw nie dopuścić naruszenia pokoju i zupełnego odosobnienia Turcyi, gdyby przyszło na myśl jej uciec się do broni. Nie jest to zbyt silne „atout“ w grze dyplomacyi europejskiej, alež zawsze lepiej spróbować utrzymać pokój na półwyspie Bałkańskim, niż pozwolić rozporządzać tymi wypadkami bez żadnej kontroli politykom Białogrodu, Aten, Sofii i Bukaresztu.“

Ruś jedna mniema, że dyplomacya rosyjska zajmie lepsze położenie na obecnej konferencyi, aniżeli na dawnych.

„Kiedy zbierze się zapowiedziana konferencya, przedstawiciele Rosyi po raz pierwszy od niepamiętnych czasów staną wobec dyplomacyi zachodniej, nie budząc tych nieprzyjaznych uprzedzeń, jakie rodziły się zawsze przy przechodzeniu kwestyi bałkańskiej przez poprzednie jej fazy. Nie może też ona, a rzecz to ważna, napotkać, jak to zdarzało się dawniej, po cichu, za kulisami przygotowanej przeciw sobie koalicyi. Druga daleko ważniejsza dla nas korzyść jest ta, że będziemy poniekąd wezwani przez Europę do naprawiania jej błędów, które wskazywaliśmy z góry, kategorycznie i wytrwale, które przewidzieliśmy, których radziliśmy unikać, nie dla naszych egoistycznych widoków, ale w celu zabezpieczenia ogólno-europejskiego pokoju, oraz dla zaspokojenia najelementarniejszych i najlegalniejszych praw ludności chrześciańskiej półwyspu Bałkańskiego. Fakty złożyły najświetniejsze świadectwo naszej politycznej przenikliwości, a jednocześnie wydały *testimonium paupertatis* znakomitym mężom stanu, którzy w pocie czoła płodzili traktat berliński. Nie minęło jeszcze siedm lat od czasu, jak „trwały“ porządek zaprowadzony przez kongres na półwyspie Bałkańskim dał „legalne“ i „sprawiedliwe“ zasady równomiernego rozwoju i pomyślności narodów przez Rosyę oswobodzonych i nawpół oswobodzonych, oraz tych, które pozostały w zupełnej zależności od sułtana i jego baszów dlatego, że nam nie dozwolono doprowadzić dzieła oswodzenia do końca; siedm lat nie upłynęło od chwili utworzenia wspólnemi i usilnemi trudami cywilizowanego Zachodu systematu, którym szczycili się lord Beaconsfield i hr. Andrassy, p. Waddington i omal że nie sam ks. Bismark — a oto zachwiał się on luż za dotknięciem słabej ręki jakiegoś p. Stranskiego. Możemy tryumfować, a nasza dyplomacya może ciągnąć olbrzymie korzyści z naszego położenia, jeżeli odrzeknie się właściwej obawy wobec harmonii koncertu europejskiego.“

ROZPORZĄDZENIA RZĄDOWE

(co do języka rosyjskiego).

Praw. Wiestnik z d. 8 października zawiera Najwyższy Ukaz, zatwierdzający przepisy co do używania języka rosyjskiego w stosunkach urzędowych w guberniach liflandzkiej, estlandzkiej i kurlandzkiej. Przepisy te, wypracowane przez komitet ministrów, zmieniają lub uzupełniają odpowiednie ustawodawstwo z lat 1850, 1852, 1867 i 1869, tudzież odnośne artykuły ustaw miejscowych tyczących się włościan.

Gubernatorowie, oraz wszystkie instytucye i władze rządowe w guberniach nadbaltyckich, z pewnymi wyjątkami, osobno wymienionymi, mają prowadzić czynności biurowe i korespondencyę w języku rosyjskim. Z pod tego przepisu niewyłączone są nawet i takie wypadki, jeżeli we wspomnianych instytucyach zasiadają też wybieralni urzędnicy miejscowi. Rozciąga on się także na komisye do spraw włościańskich, tudzież wogóle na instytucye rządowe, ustanowione według praw miejscowych, a składające się z osób w części pochodzących z wyborów, w części zaś z mianowania przez rząd.

Władze i instytucye miejscowe i specyalne, do których nie wchodzą urzędnicy mianowani przez rząd, a które są szczegółowo wyliczone we właściwych ustępach kodeksu miejscowego, ustaw włościańskich i innych, czynności biurowe i korespondencyę pomiędzy sobą prowadzą w języku niemieckim, albo w narzeczu łotyskiem i estońskiem, lecz stosunki z wyższemi władzami państwowemi i wogóle z władzami i instytucyami znajdującemi się po za granicami guberuij nadbaltyckich, tudzież z wymienionemi w powyższym ustępie władzami znajdującemi się w obrębie kraju nadbaltyckiego, winny załatwiać w języku rosyjskim. W korespondencyi, skierowanej do władz rządowych i mieszanych w guberniach nadbaltyckich, mogą być do oryginałów rosyjskich dołączane kopie niemieckie, łotyskie lub estońskie. Do wszelkich też dokumentów niemieckich w podobnych wypadkach winny być dołączane poświadczone przekłady rosyjskie, od czego wolne są tylko księgi i sprawozdania biurowe. Nareszcie władze miejscowe, prowadzące czynności biurowe i korespondencyę wewnętrzną po niemiecku, łotysku lub estońsku, winny przyjmować wszelkie wchodzące papiery pisane w języku rosyjskim.

Na posiedzeniach wszelkich władz w guberniach nadbaltyckich, rozprawy odbywać się nadal powinny w takim języku, w jakim dana władza załatwia swe czynności biurowe.

* *
*

Izraelita warszawski donosi, że Zarząd gminy otrzymał rozporządzenie władzy, wedle którego we wszystkich szkołach gminnych zachowane być winny następujące przepisy:

1. Wszystkie przedmioty, z wyjątkiem Biblii i religii, mają być wykładane w języku rosyjskim.
2. Na ścianie w widocznem miejscu, ma być wywieszona lista uczniów z wymienieniem imienia, nazwiska i wieku tychże, jako też miejsca zamieszkania rodziców.
3. Ławki szkolne urządzone być winny według przepisanego wzoru, znajdującego się u komisarza cyrkułu, z którym stolarz w tym względzie porozumieć się winien.
4. Szyld wyłącznie w języku rosyjskim ma być wywieszony od ulicy, z wymienieniem imienia i nazwiska utrzymującego szkołę.
5. W każdej szkole znajdować się powinna księga wizytowa. Księgi te tanio nabywać można w każdej kancelaryi cyrkułowej.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Nieprawdopodobne a, jak słychać, prawdziwe. P. Zapolska postanowiła z autorem artykułu o jej nowelach, czy też redaktorem naszego pisma rozprawić się nie w *Świcie*, i nie w Magdeburgu, ale—w sądzie warszawskim. Obszerne są granice możliwości — więc i to w nich się pomieści!

Obraz Matejki, przedstawiający św. Cyryla i Metodego, zawiozła do Welehradu deputacya pod przewodnictwem biskupa Dunajewskiego. Obraz, rozumie się, poprzednio poświęcony został w Rzymie.

W Pittsburgu w (Pensylwania) w miejscowej fabryce żelaza pękło sześć kotłów parowych. Gmach fabryczny zamieniony został w stos gruzów, pod którymi znalazło śmierć mnóstwo robotników.

Aleksander Gierymski wykonał cały szereg rysunków, przedstawiających zabytki włoskie, tyczące się kraju naszego.

Tramwaje w Łodzi zostały zatwierdzone.

Rzeź chrześcian w Kochinchinie. Liczba zamordowanych chrześcian wynosi przeszło 12,000. Zniszczono rezydencyę biskupią, dwa seminarya duchowne, 50 kościołów i kaplic, nadto kilka klasztorów i domów sierot. Wściekłość chińczyków i anamitów doszła do najwyższego stopnia po zajęciu Hue przez francuzów.

Dr. Wolfring, profesor nadzwyczajny, mianowany został profesorem zwyczajnym.

Klinika oczna uniwersytecka w instytucie oftalmicznym ks. Lubomirskiego przy ulicy Smolnej, czynną być zacznie z dniem 13 b. m. Kierunek obejmie prof. Wolfring, asystenturę dr. Przybylski.

Pomnik Mickiewiczowski. Modele pomnika Mickiewiczowskiego, pomysłu Matejki, nad których wykonaniem od dłuższego czasu pracują w Krakowie artyści rzeźbiarze: Gadomski i Rygier, w tym miesiącu już mają być wystawione na widok publiczny.

J. I. Kraszewskiemu przyrzeczono rychłe ułaskawienie, jeśli poczyni pewne zeznania.

Paryż ma największe długi ze wszystkich miast. Pomimo to wierzyciele mogą spać spokojnie. Majątek Paryża obliczony został niedawno na 1,616 milionów franków, z których $424\frac{1}{4}$ przypada na ruchomy, 1,138 na nieruchomy, a $55\frac{3}{4}$ na czasowy.

Polacy w gubernii mińskiej stanowią następny procent ogółu ludności: w powiecie mińskim 21,2%, nowogrodzkim 19,5%, borysowskim 17,3%, słuckim 15,1%, ihumeńskim 12,2%, pińskim 9,8%, mozyrskim 5,1%, bobrujskim 4,2%, rzeczyckim 4,1%, w całej zaś gubernii 10,8%.

Kolej elektryczna w Warszawie podobno przychodzi do skutku. Wykonania budowy podjęła się firma berlińska Siemens i Halsky. Do eksploatacyi zawiązała się spółka udziałowa po 1,000 rs. Kolej ta pójdzie od stacyi tramwajowej przy rogatce mokotowskiej, wzdłuż wału miejskiego do rogatki belwederskiej a następnie do „Promenady belwederskiej.“

Konwencya zawarta między Rosyą i Francyą w dniu 25 marca 1861 roku, dotycząca praw własności autorskiej, literackiej i artystycznej, wkrótce zostanie zniesioną, z powodu nierównych obustronnych korzyści.

Rewizye lombardów będą dokonywały się obecnie w terminach nieokreślonych dla sprawdzania stanu tych zakładów w chwili, w której ich właściciele rewizyi nie oczekują.

Uniwersytety. Skutkiem wprowadzenia nowej ustawy do uniwersytetów rosyjskich, liczba nowowstępujących do uniwersytetu w Petersburgu zmniejszyła się o 260. Najmniej się zapisało na wydział filologiczny, bo tylko około 50, oraz na prawny, bo niewiele więcej nad 100.

Kary na przemytników mają być w przyszłości znacznie obostrzone. Kotrabandzista, raz już osądzony, a powtórnie ujęty, będzie w drodze administracyjnej wywożony na Syberyę.

Kwestya żydowska. Komisya do spraw żydowskich pod prezydencyą br. Pahlena wznowi swe posiedzenia w połowie października przy współudziale senatorów Mordwinowa i Połowcewa; między innemi roztrząsać ona będzie i kwestyę wzbronienia żydom handlu w dni świąteczne i niedzielne.

W Anglii od d. 1 b. m. zaprowadzono nową taksę od telegramów prywatnych, wynoszącą 6 pensów za 25 wyrazów (adres darmo). Skutkiem tego wiele osób zaniechało pisania listów. Do przyjmowania korespondencyi upoważniona jest każda stacya telefoniczna.

Kary prasowe. Zarządzający ministeryum spraw wewnętrznych postanowił: zabronić sprzedaży pojedynczych numerów gazety *Nowosti* i *Birżewaja gazeta*.

Bilety dla studentów. Kolej dąbrowska, według zawiadomienia, wywieszonego w gmachu uniwersyteckim, zaprzestała już wydawać po zniżonej cenie bilety jazdy dla studentów uniwersytetu.

Bibliografia polska. Godziemba, *Pienia*, tom I i III—VII, Kraków.

— Grillparzer F. *Gra uczuć i fal morskich*, dramat w 5 a., przeł. H. Wiślańska, Tarnów.

— Hołubowicz J. ks. *Bułgarya* itd., Kraków.

— *Jak i dlaczego żydów biją?* Warszawa.

— Kasparek Fr. dr. *Udział polaków w uprawie prawa międzynarodowego*, Lwów.

— Kohn G. *Jakie jest prawdziwe zadanie* naszej demokracyi (Na pogorzelców Horodenki), Przemyśl.

— Kozietulski Z. *O granicy pojęć ludzkich*, Warszawa.

— Krynicki K. *O Wiśle*, jej dopływach itd. Warszawa.

— Kwiatkowski S. *Wykaz* dostojników duchownych i świeckich tudzież urzędników z czasów Władysława Warneńczyka, 1434—1444, Kraków.

— Langie K. *Odczyty* o kobiecem gospodarstwie domowem; zesz. 2-gi, Wyżywienie rodziny, Kraków.

— Łoś J. *Porównanie fonetycznych właściwości* kilku gwar polskich. (Ak. umiej.), Kraków.

— Matusiak S. *O niektórych zjawiskach języka polskiego*, Kraków.

— Miklaszewski W. dr. *Wykład postępowania cywilnego rzymskiego*, Warszawa.

— Młynarz z nad Nurca. *O młynarstwie*, Warszawa.

— Morawski S. *Wyrazy fenickie* w mowie polskiej, Lwów.

— Naville E. *O fizyce nowożytnej*, historyczno-filozoficzne studya, przeł. K. S., Kraków.

— Niewiarowski ks. *O obowiązkach w rodzinie* (dla ludu), Kielce.

— Okolski A. prof. *Zasady prawa cywilnego*, obow. w Król. polskiem, Warszawa.

— *Okrężne*, jednodniówka na rzecz Towarzystwa czytelni ludowych w Poznaniu, Poznań.

— Ostrożyński W. dr. *O przestępstwie cudzołóstwa* itd., Lwów.

— Otawa T. *Halina*, powieść wierszem, Warszawa.

— Ottoman R. *Słów kilka* o nauce języka niemieckiego w szkole handlowej, Kraków.

— *Pamiętnik* akademii umiejętności w Krakowie: Wydział mat. przyr. T. X. Kraków.

— towarzystwa tatrzańskiego rok 1885. X., Kraków.

— Przeciszewski K. *O sposobie uratowania* z upadku naszych gospodarstw rolnych, Warszawa.

— Ribot T. *Choroby osobowości*, przeł. J. K. Potocki, Warszawa.

— *Rocznik* drugi towarzystw przemysłowych na rok 1885, Poznań.

— Rostafiński J. dr. *Jana Welsa zapiska* treści lekarskiej itd. (Ak. umiej.), Kraków.

— Schlichting A. dr. *Ustawy zasadnicze* ces. austr. wraz z statutem kraj. i ordynacyą sejmową król. Galicyi itd., Kraków.

— Schneider O. dr. *Atlas* przyrodniczo-geograficzny, Warszawa i Lublin.

— Schramm H. dr. *O chirurgicznem leczeniu* wola, Kraków.

— Schramm J. dr. *Podręcznik* do analizy chemicznej jakościowej, Lwów.

— *O działaniu bromu* na parabromotolnol (Ak. umiej.), Kraków.

— Smoleński St. dr. *Fizyczne sposoby leczenia* Korneliusza Celsa, Kraków.

— Smolka St. *Leon XIII wobec nauki i cywilizacyi*, Kraków.

— Sowiński L. *O zmroku*, Warszawa.

— *Sprawa wykopalisk* mnikowskich, Kraków.

— *Sprawozdania* komisyi do badania historyi sztuki w Polsce tom III, zesz. 2, Kraków.

— St. L. *O księgach handlowych* według obow. prawa, Płock.

— Suryn F. *Fatalne wpływy*, Kraków.

— Taine H. *Podróż po Włoszech* tł. A. Sygietyński, cz. I: Neapol i Rzym, Warszawa.

— Wajgel L. *Pogląd* na rzeźbę Czarnohory, Kraków.

— Wilkowski A. *Ramoty i ramotki* t. 2 i 3. (Bibl. Mrówki 211—213 i 214—216), Lwów.

— Zagórski W. *Wilcze plemię*, powieść, Warszawa.

— Zathey H. *Pisma*, nowe wyd. zbiorowe T. I., Poznań.

— Żawiliński R. *O stosunku pokrewieństwa języków aryo-europejskich*, Kraków.

— Zejdowski J. dr. *Siła lecznicza* ustroju ludzkiego w stosunku do cholery, Warszawa.

— Ziemianin, *Najnowsze szkice wschodu* itd., Kraków.

— Żukotyński F. Z pamiętników... *Nabycie miasteczka Lanckoronia*, Kraków.

Archeologia. We wsi Wojhowa, w powiecie mieleckim w Galicyi, orząc ziemię, napotkano cenny zabytek archeologiczny, składający się z monet trojakiego rodzaju, pochodzących z 25 roku po Chrystusie. Na jednej stronie tych monet widać popiersie cesarzów rzymskich Trajana i Wespazyana, a na drugiej postać Dyany i napis.

— W Eleuzis natrafiono przy odkopywaniu zabytków starożytności na ślad najstarszej, zburzonej przez persów świątyni. Stanowi ona kwadrat, i zawiera 25 kolumn idących w pięciu rzędach. Starożytna ta świątynia łączy się w północno-wschodniej stronie z nową świątynią, zbudowaną przez Iktinosa.

— W Asyryi i Egipcie a szczególniej w Memfisie odkopano kilka harf liczących do 3,000 lat i posiadających 21 strun; harfy te mają być znów nastrojone, o ile to naturalnie będzie możliwe. Nadto znaleziono też flety, trąby, bębny i dzwony.

Magazyn spółki zjednoczonych krawców zlikwidował swoje interesy.

Chińczyk odkrywcą Ameryki. Edward Vining w dziele wydanem w New Yorku stwierdza fakt, podany jeszcze w 1761 r. przez barona de Guigues, że Amerykę, a mianowicie Meksyk, odkrył przed Kolumbem Hioni Swan, mnich buddysta w 15 wieku.

Pomiędzy Bruksellą a Antwerpią, na odległości 44-ch kilometrów, robiono parę tygodni temu próby z telefonami Ochorowicza. Robiono również próbę przesyłania głosu tymże telefonem na dalszą odległość z Brukselli do Ostendy i królowa belgijska słuchała w Ostendzie opery brukselskiej przy pomocy aparatów naszego ziomka. Doświadczenia wypadły pomyślnie.

W Paturages w Belgii, wyleciał w powietrze dom dyrektora kopalni węgla, p. Belleta. Podminowali go górnicy podczas ostatniego bezrobocia, a eksplozya nastąpiła teraz dopiero.

Zakład kąpielowy Nałęczów przeszedł na własność „Towarzystwa wód mineralnych i hydropatyi w Nałęczowie.“ Kapitał akcyjny wynosi 200,000 rubli.

Obcy poddani. Podług spisu jednodniowego okazało się w Warszawie cudzoziemców mężczyzn 8,984—kobiet 8.199, razem 17,183. W liczbie mężczyzn miały przedstawicieli następujące zajęcia: usługi osobistej 545, wyrobników 541, stolarzy i krześlarzy 432, szewców 435, ślusarzy i puszkarzy 406, oficyalistów prywatnych 393 (!), handlujących 325, krawców 283, trudniących się handlem ulicznym 246, mularzy 228, piekarzy 216, urzędników kolejowych 185 (było to w r. 1882, gdy nie obowiązywało jeszcze rozporządzenie, wzbraniające zarządom kolejowym utrzymywać urzędników z obcych poddanych), cieśli 164, cukierników 150, pedagogiw 139, pracujących w fabrykach machin 137, zajmujących się muzyką 128, blacharzy 121, kapitalistów 110, właścicieli domów 109 itd.

W liczbie zaś kobiet obcych poddanych najwięcej wypadło w następujących kategoryach zajęć: usługi osobiste 1,642, zajęcia pedagogiczne 520, wyrobnice 443, oficyalistki prywatne 313, kapitalistki 292, właścicielki domów 119, pracujące nad muzyką 114, modniarki 104 itd.

Zmarli. Stefan Czerniawski, naczelnik oddziału Noworosyjskiego, autor kilku poważnych prac drukowanych w Bulletin de mathematique.

— Dr. Antoni Eborowicz, współpracownik wielu pism lekarskich.

— Stefan Hubicki, zacny człowiek i myślący pisarz.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pani P. S. W przypuszczeniu, że nie jesteś Pani jednym z onych manekinów opinii publicznej, przed którymi redakcye wylewają swoją mądrość i żale, polecamy staranne zbadanie roczników *Kuryera warszawskiego* a polecamy tem śmielej, że nosisz go Pani w swem sercu. Może wynikiem tych studyów będzie istotnie wniosek, że nas pamięć zawiodła, że nie on opisuje zbytkowne zabawy karnawałowe, nie on unieśmiertelnia każdą „królowę balu“ i każdą bogatą „zacną matronę,“ nie on wysławia kosztowne „treny,“ nie on uwiadamia o strojach i klejnotach elegantek miejscowych i zagranicznych, nie on pomieszczał osobne recenzye teatralne z toalet aktorek i dam w lożach, nie on zajmował się bielizną Mierzwińskiego i ślubnym wolonem hr. Potockiej—itd. Ponieważ tak dalece miłujemy prawdę, że nietylko ją głosimy, ale z równą gotowością przyznajemy się do popełnionych omyłek, więc za poprawienie błędu naszej pamięci będziemy wdzięczni. Jednocześnie przypomnij Pani *Kuryerowi*, że według naszego kalendarza listopad rozpocznie się za kilkanaście dni.

P. K. Stor. Wzgarda nie pomogła, to pomoże *argumentum baculinum*, którego się niewątpliwie na tej roli doczeka.

Artyście Z bezimiennych doniesień nigdy nie korzystamy.

L. S. Prawidłowo: „palić papieros,“ ale zwyczaj, tylko zwyczaj upowszechnia formę: „palić papierosa.“

O. w Lublinie. Obecnie nie potrzebujemy.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Октября 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.